Jedność

MIESIĘCZNIK RELIGIJNO-SPOŁECZNY
POŚWIĘCONY POLSKIEMU EWANGELICYZMOWI I EKUMENII

6
75

Rok XIX (XXXIII)

NASZYM ZDANIEM

Stał się cud

Dyskusja nad Opowieściami Zenona Kosidowskiego przypomina starą piosenkę o cudzie, który się stał pewnego razu, gdy dziad przemówił do obrazu, a obraz doń ani słowa, taka była ich rozmowa. Dziadów nazbierało się już sporo, również nasze pismo ustawiło się w ich kolejce. Przemawiają jedni z oburzeniem, inni spokojnie i rzeczowo, jeszcze inni próbują parodiować. A obraz? Obraz milczy, jest wyższy ponad argumenty, zarzuty, znaki zapytania stawiane przez „fideistów". Kto by się tam przejmował tym, co mają do powiedzenia ludzie „tkwiący w atawistycznych przesądach", zwłaszcza jeśli ktoś uważa się za rzecznika nauki. Obraz więc milczy i milczeć będzie, bo taka jest jego natura i kto będzie do niego przemawiał, słusznie może być uznany za niespełna rozumu. Skoro przekonaliśmy się, jak sprawa wygląda, żałujemy dzisiaj, żeśmy dali się nabrać i zabieraliśmy głos. Obiecujemy poprawę i w sprawie Opowieści Zenona Kosidowskiego głosu już zabierać nie będziemy. A szkoda, bo tak łatwo polemizuje się z jego wywodami!

Póki co, pozwolimy sobie jeszcze na parę pożegnalnych zdań w tej rubryce. Wydaje się, że są przynajmniej dwa powody, dla których nie warto tym tematem serio się zajmować. Po pierwsze dlatego, że autor Opowieści nie ma zamiaru reagować na krytykę, na rzeczowe argumenty, nie prostuje nawet najbardziej oczywistych błędów, a tych, którzy poddają jego pracę krytycznej ocenie, po prostu ignoruje. Zawodnik, jeżeli nie podejmuje walki, przegrywa przez dyskwalifikację. Co odnosi się chyba nie tylko do sportu.

Po drugie. Opowieści nie są czytane przez ich adresatów. Staraliśmy się wybadać różne kręgi młodzieży na ten temat i okazało się, że młodzi ludzie nie mieli najmniejszego pojęcia o co chodzi. Kosidowski strzela więc kulą w płot. Nie ma specjalnych powodów do niepokoju, żeby Opowieści mogły w jakiś sposób burzyć podstawy wiary. Rzecz szyta jest zbyt grubymi nićmi i każdy w miarę inteligentny człowiek spostrzeże bez trudu usterki logiczne, sprzeczności, naciąganie na siłę, że aż wszystko trzeszczy.

Kto Opowieści może czytać? Bo jednak ktoś czyta! Są to przede wszystkim specjaliści zagadnień biblijnych, ci, którzy na łamach prasy pisali artykuły polemiczne. Czytają duchowni różnych wyznań, aby zorientować się, jakimi argumentami posługuje się Kosidowski, usiłując podważyć wiarogodność Ewangelii. Okazuje się, że sprawa jest o wiele prostsza, niż można by się spodziewać. Zabierają więc głos, analizują ogłoszony tekst, wykazują braki i błędy, wkładają trud w przypominanie podstawowych zagadnień, bo uważają za swój obowiązek ukazywanie prawdy i jej obronę. Znawcy zagadnienia nie mają żadnych wątpliwości, że wartość naukowa publikacji Zenona Kosidowskiego jest zerowa. Trudno bowiem inaczej oceniać pracę, której autor pewne kwestie o niewielkim znaczeniu wyolbrzymia, inne, podstawowe, zupełnie pomija, powołuje się na przestarzałe opinie biblistów, preparuje materiał i nagina go do z góry przyjętych założeń. Czy tak ma wyglądać praca popularyzatora nauki? Czy to, co robi Kosidowski, nie jest dla nauki po prostu obrazą?

Kto jeszcze może to czytać? Prawdopodobnie ci, którzy z różnych powodów już przedtem wiarę odrzucili, a teraz szukają uzasadnienia swojej decyzji. Jeśli szukają argumentów u Kosidowskiego, srodze się zawodzą, bo nie muszą wcale być specjalistami, aby dostrzec grube szwy, jakimi posługuje się autor przy zszywaniu całości z różnych i to zleżałych kawałków. Nie da się jednak Kosidowskiemu odmówić pewnej zasługi. Po opublikowaniu Opowieści Biblijnych w formie książkowej wzrosło zainteresowanie Biblią. Od czasu, gdy zaczęły ukazywać się w „Dookoła Świata" odcinki Opowieści Ewangelistów, wydrukowano w prasie chrześcijańskiej, codziennej i periodycznej, szereg polemicznych artykułów, dzięki którym mógł wzrosnąć poziom wiedzy o Piśmie świętym. A to jest coś warte, ponieważ wśród ogółu wierzących wiedza na ten temat jest zupełnie znikoma.

CO W NUMERZE?

Temat numeru, który oddajemy do rąk Czytelników, obraca się wokół spraw rodziny. Otwiera go kazanie ks. Zdzisława Trandy, **Rodzice — dzieci** (s. 3). Chodzi w nim o dwa ważne w chrześcijańskim wychowaniu czynniki: karność i napominanie w duchu Bożym. Do treści kazania nawiązuje **Modlitwa ojca** (s. 4).

Bardzo często źródłem trudności wychowawczych są sami rodzice, ale nie tyle z powodu pojedynczych, nawet ciężkich błędów wychowawczych, ile z powodu stale powtarzających się — nawet z pozoru błahych — sytuacji, które niedostrzegalnie decydują o kształtowaniu się człowieka. Pisze o tym w artykule pt. **Czym jest rodzina** (s. 5) Michał Wroniszewski, lekarz psychiatra, który zajmuje się humanistyczną terapią tzw. trudnej młodzieży. O podobnych sprawach pisze ks. Bogdan Tranda w artykule pt. **O dojrzewaniu rodziców** (s. 7). Autor podejmuje bardzo trudny dla rodziców problem dojrzewania do dorosłości własnych dzieci.

Od dawna nie widziany na naszych szpaltach WESS pojawia się znowu felietonem na temat czasu, jaki rodzice powinni mieć dla swoich dzieci, a na marginesie książki Jacka Nawrota Alina Werner dzieli się swymi refleksjami w artykule pt. **Dziecko — istota nieznana** (s. 9).

Niby bez formalnego związku z głównym tematem tłumaczymy z „Kostnickich Iskier" tekst zatytułowany **Przyjacielowi z okazji osiemdziesiątych urodzin** (s. 10), ale jednak istnieje wyraźny związek wewnętrzny, łatwy do zauważenia po przeczytaniu.

Dużej miary wydarzeniem w życiu Kościołów naszego kraju była **wizyta Filipa Pottera**, generalnego sekretarza Światowej Rady Kościołów, który spędził w Warszawie i Krakowie cztery dni kwietnia. Sprawozdanie z jego pobytu zamieszczamy na s. 11.

O twórczości malarskiej Józefa Bergera, pastora i profesora teologii, pisze Zbigniew Jakubowski w artykule **Świat smutku i piękna** (s. 13).

Sylwetkę **Josepha H. Oldhama**, jednego z twórców ruchu ekumenicznego, znajdą Czytelnicy na s. 16, **Dzieje Estery** w dziale **O Biblii** na s. 18, a **Przegląd ekumeniczny** na s. 19 i 20.

NASZA OKŁADKA:

Wydarzeniem dużej miary była wizyta w Polsce Filipa Pottera, generalnego sekretarza ŚRK. Nasze zdjęcie przedstawia go w lokalu Towarzystwa Biblijnego.

KS. ZDZISŁAW TRANDA

Rodzice – dzieci

„Wychowujcie dzieci w karności i w napominaniu Pańskim"

Ef. 6 : 4

Przed laty wyświetlany był na ekranach naszych kin świetny film produkcji RFN — „Sędzia dla nieletnich". Poruszono w nim wiele problemów związanych z życiem młodzieży z tzw. marginesu społecznego. Kończy się ten film sceną przed sądem dla nieletnich. Podsądną jest dziewczyna, która zeszła na manowce pod wpływem starszawego, bogatego mężczyzny, którą ją i jej naiwność oraz lekkomyślność wykorzystywał. Matka niewiele wiedziała o swej córce i jej osobistym życiu; zeznając przed sądem powiedziała z rozpaczą: „— A ja zawsze starałam się być dla niej najlepszym przyjacielem". Ów mądry sędzia dla nieletnich, główny bohater filmu, powiedział wówczas matce: „Nie przyjaciel jest jej potrzebny, lecz matka!"

W ostatnich latach mówi się dużo o rodzinie przyjacielskiej. Niewątpliwie model rodziny przechodził różne przeobrażenia, dobre i złe, korzystne i niekorzystne. Ostatnio lansowany model rodziny przyjacielskiej też może przynosić dobre i złe efekty w zależności od tego, jak ta przyjaźń jest rozumiana. Jest bowiem rzeczą pewną, że dzieci powinny mieć w swoich rodzicach przyjaciół, ludzi zaufanych, którym mogą się zwierzyć z trosk, kłopotów, trudności życiowych, ale także z radości, wiedząc, że znajdą u nich zrozumienie i radę. Smutny jest los dziecka — obojętnie w jakim wieku — które musi powiedzieć: „Nikt mnie nie rozumie, nawet rodzice!" Trudno pozyskać pełne zaufanie swych dzieci, aby z jednej strony nie była to poufałość, a z drugiej — aby zrozumienie okazywane dziecku nie sprowadzało się do przyzwalania mu na wszystko. Jest rzeczą zdumiewającą, jak czasem rodzice, zabiegając o uznanie w oczach dziecka, dziwnie pojmują przyjaźń. „Przekrój" opublikował kiedyś, bodajże w związku z Dniem Matki, cykl wypowiedzi: „Dziecko o swej matce, matka o swym dziecku". Zdumiony byłem przeczytawszy wypowiedź znanej pisarki, która, aby umożliwić swojej córce, uczennicy liceum, zorganizowanie prywatki, i aby nie krępować młodzieży swoją osobą, wyjechała na trzy dni z domu, dając tym samym carte blanche na wszystko, co się na tej prywatce będzie działo.

Jest coś naprawdę pięknego i, powiedziałbym, błogosławionego, gdy pomiędzy rodzicami a dziećmi może nawiązać się przyjaźń. Ale... Właśnie to ale... Nigdy nie wolno zapominać — ani rodzicom, ani dzieciom, lecz przede wszystkim rodzicom — nawet w najlepszym układzie wzajemnych stosunków, że rodzice, to n i e t y l k o przyjaciele, lecz przede wszystkim matka i ojciec.

Stosunki pomiędzy przyjaciółmi rozgrywają się na jednym poziomie. Natomiast w relacji: rodzice — dzieci nigdy nie może być jednego poziomu, co nie znaczy, że kończy się przyjaźń. Nie. Powtarzam: przyjaźń między rodzicami a dziećmi jest czymś niezwykle pięknym i wspaniałym, ale rodzice są kimś więcej aniżeli przyjaciółmi. Dlatego też muszą wiedzieć, kiedy należy powiedzieć mocne: nie!, kiedy skorzystać z prawa zakazu lub nakazu, kiedy położyć na szalę cały autorytet rodzicielski. I to nie wbrew przyjaźni, lecz na rzecz przyjaźni. O tym zapewne myślał ów sędzia dla nieletnich ze wspomnianego filmu.

Tekst, który obraliśmy sobie jako podstawę rozważania, ukazuje ważny problem wychowawczy i porusza go z myślą również o dobrze pojętej przyjaźni pomiędzy rodzicami a dziećmi, na rzecz rodziny przyjacielskiej. Mowa jest w tym tekście o wychowywaniu w karności i o napominaniu, i to napominaniu Pańskim, a więc w określonym duchu — Bożym. Ukazane więc zostały dwa ważne czynniki wychowawcze.

K a r n o ś ć. O jaką karność może tu chodzić? Któż nie miał kłopotów ze swoimi dziećmi? Któż nie stanął nigdy wobec problemu, w jaki sposób prowadzić do karności? I któż nie popełniał najróżniejszych błędów w tej mierze? Nic dziwnego. Każdy bowiem człowiek, każde dziecko, każde z rodziców — to osobowość i indywidualność. Gdyby dziecko było maszynką, automatem, który można by zaprogramować tak, aby wykonywało wszystko bez zarzutu, wówczas może nie byłoby kłopotów i trudności wychowawczych. Ale tak nie jest. Każdy człowiek to zespół najróżnorodniejszych cech, to odrębny charakter, inne usposobienie, to wady i zalety, często nieoczekiwane i nieprzewidziane, to zło i dobro, przemieszane w jednym kotle ludzkiego ciała i ducha. Gdybyśmy znali wszystkie motywy postępowania dzieci, ich reakcje w różnych sytuacjach, przyczyny takich a nie innych decyzji, łatwiej byłoby kierować nimi. Ale ponieważ ich nie znamy i znać nie będziemy, obserwujemy tak bardzo różne rezultaty tych samych metod wychowawczych.

Bywa, że w tej samej rodzinie jedno dziecko sprawia nieustanne trudności i kłopoty, a drugie jest przedziwnie łatwe w prowadzeniu, trzecie zaś jest jeszcze inne. Bywa, że w rodzinach pijaków i awanturników wyrastają dzieci odznaczające się wyjątkową wprost pracowitością, pilnością, solidarnością — uczą się chętnie i bardzo wiele zdobywają, a w rodzinach, które chcą i starają się zapewnić możliwie najpomyślniejsze warunki dla uczenia się, wyrastają dzieci, które uczyć się nie chcą i robią wrażenie jak gdyby pragnęły prześliznąć się przez życie.

Na pewno wśród przyczyn tego zjawiska jest miejsce na błędy rodziców, czasem nawet bardzo poważne. Ale przecież nie tylko one są powodem trudności. Życie w ogóle, a w nim sprawy wychowania, bywa bardzo skomplikowane. Nieraz bardziej, aniżeli nam się wydaje.
O jakiej karności myślał apostoł Paweł, gdy pisał: „...wychowujcie dzieci w karności...”? Nie wydaje się, by chodziło mu o „bat”. Bywają rodzice bardzo surowi, despotycznie wymagający posłuszeństwa, bywają ojcowie o „kapralskim” sposobie zarządzania dziećmi. Jakże często spod „bata” wychodzą dzieci najpierw zahukane, ze strasznymi kompleksami, a potem, gdy zakosztują swobody, prawa niezależności i wyzwolenia spod rodzicielskiej władzy — zaczynają życie symbolicznie określone jako „tańce, hulanka, swawola”.
Rozumiem, że prawdziwa karność nie jest wynikiem wytresowania, lecz zrozumienia przez dziecko, że zło jest złem, a dobro dobrem, że istnieją normy, prawa i wartości, których bezkarnie przekraczać ani deptać nie wolno, i że zarazem są antywartości, z którymi godzić się nie wolno. Tego rodzaju karność może się rozwijać, gdy będzie oparta o autorytet rodziców, znowu — nie wymuszony, lecz wypracowany. Wypracowany przez to, że dziecko pozna, iż rodzice podejmują mądre i słuszne decyzje, że ich postępowanie nacechowane jest zawsze poczuciem odpowiedzialności za to, co czynią i że umieją się nawet przyznać do błędu, gdy go popełnią, a także wycofać się z zajmowanego stanowiska i zmienić zdanie. Autorytet rodzicielski jest kształtowany również przez stawiane dzieciom wymogi, a gdy trzeba — nawet przez twardą rozmowę, umiejętne stosowanie kar, nie wyłączając, w rażących przypadkach, symbolicznej rózgi. Z drugiej zaś strony nie wolno zapominać o nagrodzie, a przede wszystkim o cieple prawdziwej, serdecznej miłości. Gdzie panuje oschłość, tam dziecko zostaje odarte z istotnego czynnika, kształtującego jego osobowość. Także do życia rodzinnego odnosi się Chrystusowe: „Miłuj bliźniego, jak siebie samego”. Wszystko zaś musi być oparte o konsekwentne i sprawiedliwe postępowanie.

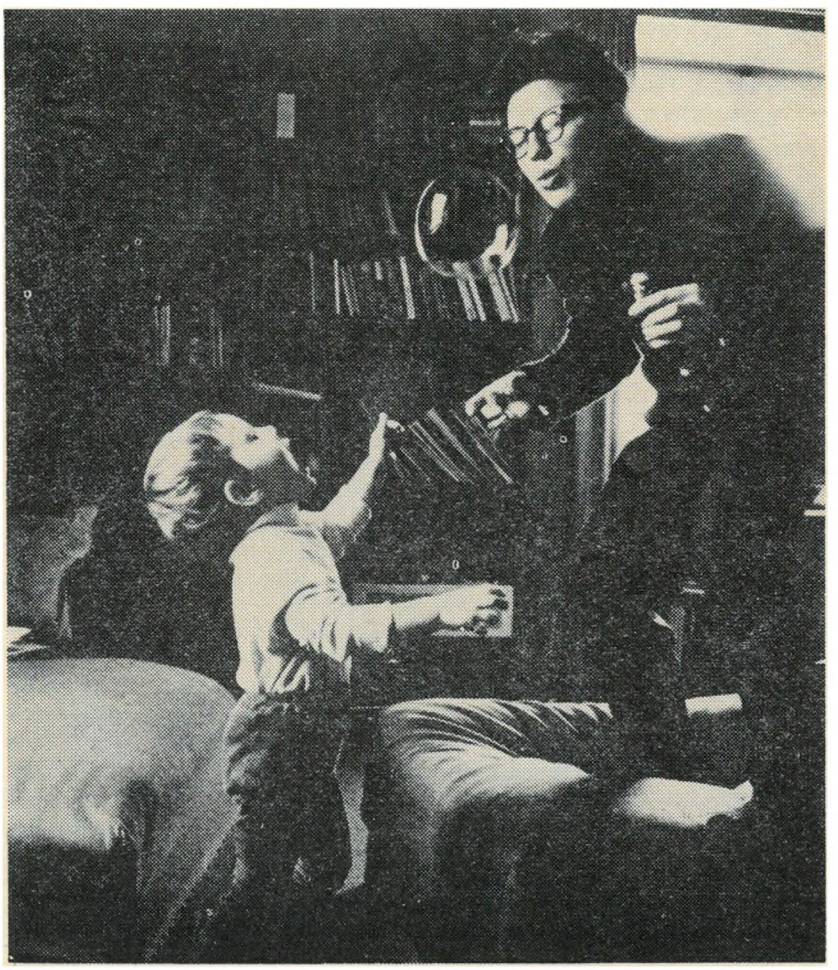

Modlitwa ojca

Klękam, przed Tobą, Ojcze,
który jesteś źródłem
wszelkiego ojcostwa,
i szukam u Ciebie
rady i pomocy.

Spraw, abym umiał
być ojcem, który spełnia
powierzone przez Ciebie zadanie,
abym umiał znaleźć czas
dla moich dzieci,
dla ich spraw i problemów,
tak różnych od moich,
ale nie mniej ważnych.

Daj mi rozumieć
prawa młodości,
odróżniać dobro od zła,
krnąbrność od pragnienia wolności,
swawolę od wesołości,
upór od stanowczości.

Ty, Ojcze, dałeś dzieci
nam, rodzicom.
Ty także sprawisz,
że przekazane im wartości
okażą się im przydatne,
że nie zejdą z drogi Ewangelii
i nie stracą kontaktu z Tobą.

Prosimy Cię,
pokieruj naszymi myślami,
słowami i postępowaniem,
tak, aby nasze dzieci
nie straciły do nas zaufania,
aby nigdy nie były samotne
ze swoimi decyzjami,
aby zawsze wiedziały,
że mogą liczyć
na naszą miłość.

Apostoł mówi także o napominaniu Pańskim, a więc w duchu Bożym. Jako chrześcijanie powinniśmy korzystać z chrześcijańskiej argumentacji i z chrześcijańskich środków oddziaływania. Ponieważ mowa tu o napominaniu Pańskim, chcemy w tej mierze wypowiedzieć się o działaniu w duchu Bożym. Grzech musi być nazywany grzechem, wina winą, zło złem, a nie opatrywane etykietą błędu, niedociągnięcia, słabości itp. A wszystko musi prowadzić do wyrobienia w dziecku przeświadczenia, że jest ono odpowiedzialne nie tylko przed rodzicami, przed społeczeństwem, ale także i przede wszystkim przed Bogiem.

Żadne jednak napominanie, nawet w duchu Bożym, ani wychowywanie w karności nie pomogą, o ile dziecko nie będzie widzieć w rodzisach przykładu. Nie sądźmy, że dziecko będzie się modlić, jeśli nie widzi modlących się rodziców; że będzie czytać Pismo św., o ile rodzice tego robić nie będą; że będzie prawe i uczciwe, jeśli dostrzeże, że rodzice w tej mierze nie postępują tak, jak powinni. Wszelki autorytet pryska, o ile proces wychowawczy nie jest poparty przykładem. I wcale nie chodzi o to, aby dzieci widziały w rodzicach „rycerzy bez skazy", lecz o to, aby mając świadomość, że i oni podlegają pokusom i grzechom, poznawały, że odnoszą zwycięstwa dzięki swej wierze i społeczności z Jezusem Chrystusem.

Nie wolno nam, jako rodzicom, zapominać, iż przykazanie „Czcij ojca twego i matkę", chociaż pozornie jest przykazaniem jednostronnym odnoszącym się tylko do dzieci, to w rzeczywistości przemawia ono także do rodziców: postępuj tak, aby dzieci mogły cię szanować i miłować. O tym zapewne myślał apostoł Paweł, gdy w poprzedzających nasz tekst słowach napisał: „...nie pobudzajcie do gniewu dzieci swoich".

Obserwowałem kiedyś w Zduńskiej Woli przerażający obrazek. Dwoje dzieci w wieku przedszkolnym prowadziło — zapewne do domu — pijanego ojca. Pomyślałem sobie wtedy: ojcze, jakże cię mają szanować te biedne, małe dzieci? Potrzebują twej miłości, a co ty im dajesz?

Wreszcie na koniec to, co w naszym tekście nie zostało zawarte, ale czego nie możemy pominąć, gdy mowa o procesie chrześcijańskiego wychowania. Modlitwa za dzieci. W tym nie wolno ustawać. Nawet wtedy, gdy nam się wydaje, że wszystko się wali, że dziecko ginie, że schodzi na manowce, że żadne nasze słowa nie skutkują, że staje się nam dalekie i obce. Bywa, że modlitwa za dziecko pozostaje już tylko jedyną szansą i jedyną nadzieją. Pamiętaj, że historia Moniki, matki Augustyna, owego lekkomyślnego młodzieńca-hulaki, a potem nawróconego i odrodzego Ojca Kościoła, wielokrotnie w dziejach się powtarzała.

MICHAŁ WRONISZEWSKI

Czym jest rodzina?

Czym jest rodzina? Nasze uczucia decydują o tym, co się nam najłatwiej z tym pojęciem kojarzy: dom i ludzie, z którymi żyjemy, których wspominamy, może też marzenie o przyszłości. Zależy to w ogromnym stopniu od naszych własnych doświadczeń, od tego, jak toczyło się i jakie jest teraz nasze życie. Wiemy wszyscy, że słowo to niektórym kojarzyć się może również niezbyt przyjemnie.

Zastanówmy się nad częściową choćby odpowiedzią na powyższe pytanie. Rodzinę stanowi kilka osób związanych na wiele sposobów ze sobą. Członkami — założycielami jest dwoje ludzi dorosłych (jakkolwiek nie zawsze dobrze do tego przygotowanych i dojrzałych), posiadających już określone cechy, postawy, poglądy i przyzwyczajenia; każdy z nich — inne, co wymaga zrozumienia i umiejętności wzajemnego dostosowywania się. Tym niemniej oboje znajdują się na pozycjach w miarę równorzędnych.

W zupełnie innej sytuacji stają następni, powoływani przez owych założycieli, członkowie rodziny. Rozpoczynają od zera, bez jakichkolwiek doświadczeń życiowych i umiejętności, w całkowitej, wprost dramatycznej zależności od dorosłych, którzy podtrzymują ich życie. Niełatwo to sobie wyobrazić. „Nie pamięta wół, jak cielęciem był" — oto przysłowie odnoszące się niewątpliwie do rodziców, których wielu nie próbuje i nie dostrzega potrzeby wczuwania się w przeżycia swego dziecka, a przez to zrozumienia go. Chociażby w jego buntach.

Otóż w rodzinie nowy jej członek wędruje ku pełnej samodzielności. Tutaj zdobywa najpierw swoje zasadnicze doświadczenia, które czynią go zdolnym do życia. Nabywa bowiem umiejętności zaspokajania swoich potrzeb fizycznych, wykorzystując swoje otoczenie i współdziałając z nim, unikając zaś zagrożeń i przykrości. Rozpoczyna przecież od nauki jedzenia, poruszania się. Równocześnie, dzięki kontaktowi z najbliższymi, staje się istotą zdolną mówić, myśleć, porozumiewać się z ludźmi okazując swoje uczucia. Wszystko to dostaje od rodziców. Bez styczności z nimi, nawet przy najpełniej zaspokojonych potrzebach ciała, dziecko nie miałoby żadnych szans rozwoju.

W rodzinie każdy z nas z niewielkiego zadatku, zawierającego tylko ukryte możliwości, staje się sobą. Nasze zdolności przeżywania uczuć radości i smutku, nasze sposoby radzenia sobie z przeciwnościami zewnętrznymi i możliwości podołania trudnościom wewnętrznym, zręby naszego świata wartości — kształtują się przede wszystkim wśród najbliższych w rodzinie, w której wyrastamy. Wszystko to możemy rozwijać i później, dojrzewamy też dalej po usamodzielnieniu się, ale już niełatwo przychodzi nam zmieniać coś w sobie i wyrównywać braki.

Biologiczne istnienie — z owymi utajonymi, wielokierunkowymi możliwościami rodzącego się dziecka —

przypomina masę nabierającą kształtu i trwałości w formie, którą jest jego miejsce w społeczeństwie — od początku, w okresie najistotniejszym jest to właśnie miejsce, o którym tu mówimy. To porównanie do formy może być o tyle nietrafne, że nie jest nią nic stałego, niezmiennego. Na tę formę w ciągu lat składa się niezliczona ilość zdarzeń, stanowiących doświadczenia dziecka. Stąd jedno z tych zdarzeń, choćby niezwykle ważne, nie ma zazwyczaj zasadniczego znaczenia. To istotne — nie można uwierzyć, by pojedynczy, nawet ciężki błąd w postępowaniu wobec dziecka był niemożliwy do naprawienia. Chyba że łączy się z wieloma innymi.

To raczej te powtarzające się wielokrotnie, podobne do siebie sytuacje, chociażby z pozoru błahe, a przez to niedostrzegalne, decydują o kształtowaniu się człowieka. W ich rezultacie dziecko przybiera te a nie inne sposoby zachowań, postawy, które będą mu sprzyjały lub przeszkadzały w dalszym życiu. Jeżeli pośród doświadczeń zbieranych przez dziecko, przeważają udane, przynoszące satysfakcję i pochwałę — poczucie własnej wartości będzie się w nim utrwalać. By tak było, rodzice muszą przyzwolić dziecku na dostateczną przedsiębiorczość. Muszą więc sprzyjać jego ciekawości, aktywności i radosnemu nastawieniu do życia. A dzieje się tak, gdy rodzice umieją okazać dziecku, że jego błędy czy zachowanie naganne nie powoduje odrzucenia go, że to nie ono samo, a jedynie jego postępowanie w tym wypadku jest uznane za złe. Ucząc się na błędach, dziecko nie jest przy tym obarczane nadmiernym poczuciem winy, które odebrać by mu mogło radość życia i spontaniczną aktywność.

Dziecko przyswaja sobie w ten sposób trudną a niezwykle cenną sztukę akceptacji samego siebie, takiego, jakim jest, ze swymi słabościami i mocnymi stronami, niezależnie od swojego postępowania. To nie ja jestem zły, potępiony, to najwyżej moje postępowanie bywa niewłaściwe z punktu widzenia przyjętych przeze mnie — czy przez moje otoczenie — wartości.

Łatwo to nastawienie przenosić wówczas na ludzi wokół. Mogę ich przyjmować takimi, jakimi są, choć ich postępowanie skądinąd budzi we mnie uzasadnioną złość. Uszanuję wtedy ich wolność, gdy nie będę się starał zmienić ich na siłę według własnego uznania, lecz zostawię im możliwość osobistego dokonania oceny tych zachowań, przekazując wprost (w odpowiednim momencie) to, co budzi moją złość. Warto sobie zdać sprawę, zwłaszcza rodzicom, że własna, wewnętrzna krytyka jest dotkliwsza i o wiele skuteczniejsza niż zewnętrzna, którą dużo łatwiej się odrzuca. Utyskujący bez przerwy rodzice zaniedbują te szanse i sami bicz na siebie kręcą. Powtarzanie w kółko rzeczy, których zasadność najczęściej aż boleśnie jest przez dziecko rozumiana, w sposób oczywisty wywoływać może szaloną złość.

By móc przekazać dziecku ową trudną sztukę akceptacji siebie i innych, trzeba samemu choć trochę ją posiąść. Wielu ludzi praktykuje ją, a zasady znane są od wieków: „kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamieniem", „nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni".

Jeżeli jednak rodzice sami żywią przekonanie, że świat jest okropny, życie jest bezlitosną walką, jest pełne niebezpieczeństw, jeżeli są pełni obaw we własnych sprawach i co do dziecka, widzą wokoło zło, to pozostawią niewątpliwie to w spadku swemu dziecku. Ono, niestety, daleko z takim garbem nie zajdzie i trudno mu będzie osiągnąć jakąkolwiek przyjemność w życiu. Wówczas pośród doświadczeń zebranych przez dziecko pod kierunkiem takich rodziców, przeważać będą: poczucie ograniczenia swobody, porażki, niespełnienie czyichś oczekiwań. Utrwali się poczucie małej wartości. Przygniatające poczucie winy ciągnąć się może za dzieckiem przez całe późniejsze życie, utrudniając mu kontakty z ludźmi i wywołując złość do siebie (jako tego gorszego) i innych (tych lepszych). I tak, problemy wewnętrzne rodziców — też, na przykład, nie spełnione własne ambicje, które przelewa się na dziecko w postaci nadmiernych wymagań (musi być nie „dobre", lecz „najlepsze") — odbijają się w następnym pokoleniu.

Istnieje pewna sprzeczność w rzeczach, które poruszyłem wyżej. Stają wobec niej, nawet nie zdając sobie sprawy, wszyscy rodzice. Z jednej strony dziecko jest przedmiotem ich oddziaływań wychowawczych. Oni tę masę z wyżej przedstawionego porównania uklepują latami w jakiś kształt. Zdawałoby się, że mają tutaj prawie nieograniczone możliwości projektowania i realizacji swoich zamierzeń — cechy dziecka są jeszcze tak mało określone w chwili narodzin!

Tak jednak nie jest. Z drugiej strony bowiem dziecko to od samego początku jest istotą odrębną. Nie jest bynajmniej własnością rodziców, jedną z rzeczy, które posiadają, i nie może być tak traktowane. Samo wkrótce spróbuje to udowodnić. Ma i realizuje poszerzający się coraz bardziej zakres wyboru i własnych decyzji. Bywa, że niezwykle wcześnie buntuje się, na przykład w sprawach jedzenia. Tak często — w pewnych cechach czy zachowaniach — dzieci są właśnie przeciwieństwem, przynajmniej zewnętrznie, rodziców. Naciski, bywa, wywołują wręcz odwrotny skutek. Zdarza się to tam, gdzie nie została uszanowana swoboda wyboru (dziecko powinno raczej móc wybrać jako lepsze, bardziej korzystne — niż przyjąć jako narzucone — rzeczy nawet oczywiste dla rodziców), albo proponowane postawy, poglądy, wartości nie są dostatecznie atrakcyjne. Nie sprawdziły się, wedle obserwacji dziecka, w życiu rodziców lub nie były w praktyce stosowane. Chrześcijanin, który swoją wiarę przeżywa jako zespół rygorów narzuconych przez surowego, karzącego Boga, może spotkać się z odrzuceniem wiary przez swe dzieci. I będzie to z ich strony reakcja uzasadniona — trudno bowiem żyć z taką wiarą.

Niemożliwe jest zaplanowanie z góry wszelkich oddziaływań na dziecko, tym bardziej że w pewnych sytuacjach rezultaty są paradoksalne. I jest to piękne. Człowiekiem nie daje się do końca manipulować. To, co najważniejsze między ludźmi, dzieje się poza możliwością takiego sterowania.

Są jednak drogi dla rodziców. Można próbować je nazwać: trzeba starać się być sobą, okazywać wprost, na ile to tylko możliwe, swoje prawdziwe uczucia, nie grać wobec dziecka, być szczerym w swych postawach i w realizacji swojego systemu wartości, być tolerancyjnym i akceptować swoje dziecko, jakim ono jest, wymagając od niego dużo, ale nie nazbyt wiele, dążyć do zrozumienia go i bezpośredniego kontaktu. Lecz są to już w dużej mierze postulaty moralne, a więc zapędzam się, w pewnym sensie, poza swoją dziedzinę.

KS. BOGDAN TRANDA

O dojrzewaniu rodziców

Jedną z największych trudności do rozwiązania dla rodziców jest uznanie dojrzałości własnych dzieci. Stajemy w pewnym momencie wobec zupełnie nowej sytuacji. Nasze dziecko ma już swoje plany, swoją wolę, krąg swoich znajomych, swój punkt widzenia, swoje przekonania, albo zbieżne z naszymi, albo pokrywające się z nimi tylko częściowo, albo zupełnie różne. Zaczynamy sobie uświadamiać, że zachodzi w nim — czy też już zaszła — jakaś istotna zmiana, która musi naruszyć naszą wewnętrzną równowagę i zakłócić wzajemne stosunki. Nowa sytuacja wywołuje w nas poczucie zagrożenia, staje się tłem mniejszych i większych konfliktów.

Szok, jaki przeżywają rodzice, jest czymś zupełnie zrozumiałym. Przecież przez długie lata przyzwyczaili się do tego, że ich dzieci są od nich całkowicie zależne. Formy zależności z wiekiem się zmieniały, ale istota pozostawała ta sama. Najpierw trzeba było niemowlę karmić, przewijać, kąpać, chronić przed niebezpieczeństwem, pilnować na każdym kroku. Potem dziecko zaczynało chodzić, mówić, wykonywać samodzielnie różne czynności, ale ciągle pozostawało pod bezpośrednim i całkowitym wpływem rodziców. To oni odkrywali przed nim świat i byli całym światem. Jeszcze później dziecko szło do szkoły, ale ciągle ojciec i matka pozostawali dla niego autorytetem, a przynajmniej bezpośrednią władzą, której nakazy i zakazy trzeba było respektować. Szkoła utwierdzała ich pozycję systemem wywiadówek, usprawiedliwień, dzienniczków. Podpis rodziców chronił, zwalniał, usprawiedliwiał, stwierdzał przyjęcie do wiadomości złego i dobrego o dziecku. Każde powodzenie przysparzało im radości i dumy, a porażka smutku i niezadowolenia. Porządek społeczny, ustalony prawem, pogłębiał ten stan zależności: odpowiedzialność za dziecko ponoszą rodzice. Opinia publiczna jeszcze mocniej to podkreśla, jednocześnie piętnując rodziców za wszelkie uchybienia dzieci. „Niedaleko pada jabłko od jabłoni", „jaka mać, taka nać"... I nagle okazuje się, że mamy przed sobą dorosłego, niezależnego i odpowiedzialnego za siebie człowieka.

Zmiana we wzajemnych stosunkach między rodzicami a dziećmi może się dokonać stosunkowo łatwiej wtedy, gdy ojciec i matka, zapracowani, nie mają wiele czasu na zajmowanie się sprawami swoich dzieci, i z konieczności one same wcześniej biorą swoje sprawy we własne ręce. Można by tu przytoczyć przykłady rodzin pozbawionych jednego z rodziców, gdzie odpowiedzialność, a więc dojrzałość, rozkłada się i na dorosłego i na dzieci.

Znam samotną matkę, która wychowywała trzy córki, z których najmłodszą dzieliła duża różnica wieku od pozostałych. I właśnie z nią — choć jako najmłodsza miała sytuację obiektywnie dużo łatwiejszą pod względem materialnym i pod względem opieki — były bardzo poważne kłopoty. Obie starsze siostry pracując zdobyły wyższe wykształcenie, a najmłodsza z ledwością przepychała się przez zasadniszą szkołę zawodową, choć była wybitnie zdolna. Starsze musiały razem z matką pokonywać trudności, razem z nią decydować o życiowych sprawach, szukać źródeł utrzymania, brały udział w dorosłym życiu, podczas gdy najmłodsza, uważana za beniaminka, pędziła beztroski żywot dziecka. Czy rozwijanie poczucia odpowiedzialności nie należy do czynników decydujących o rozwoju osobowości?

Nieprzystosowanie, konflikty z otoczeniem, nawet przestępstwa bardzo często wynikają z braku poczucia odpowiedzialności, zwykle spowodowanego przez rodziców, którzy wszystkie trudności usuwają z pola widzenia swych dzieci i — w najlepszej zresztą intencji — pozbawiają je możliwości decydowania nawet o najprostszych sprawach.

Oto autentyczna, acz humorystyczna sytuacja. Córka, studentka, wybiera się na spacer z kolegą. Matka pyta przed wyjściem: — A ciepłe majtki masz? W odpowiedzi usłyszała tylko pełne żalu i złości: „Mamo!!!" Trudno się dziwić, że chociaż bardzo mocno uczuciowo z matką związana, córka by ją wtedy „rozszarpała".

Rodzicom wydaje się, że ich nadmierna troska jest umotywowana w sposób oczywisty. Przecież chcą uchronić dziecko przed chorobą, niebezpieczeństwem, złymi wpływami, nawet przed błędami popełnionymi kiedyś przez nich samych. Powołują się na swoje doświadczenie życiowe, na przeżyte rozczarowania i wnioski z tego wyprowadzone.

Znam człowieka, który w dzieciństwie stracił rękę. W okresie powojennym niedostatecznie — jego zdaniem — kontrolowany chodził z kolegami do miejsc, gdzie można było znaleźć pozostawioną amunicję. Stało się to, czego można się było spodziewać. Wybuch urwał mu prawą rękę. Dziś, pamiętając o swoich smutnych doświadczeniach, które wiąże z brakiem dostatecznej opieki, tak dalece kontroluje i ogranicza swojego syna, że wpędził go w ciężką nerwicę. Sam nie ma wprawdzie ręki, ale jest mimo to człowiekiem energicznym, zaradnym, dobrze sytuowanym, a jego syn wszystkie kończyny ma całe i zdrowe, ale za to poważnie zachwianą osobowość. Uchronił syna przed jednym niebezpieczeństwem, a stało się coś nieoczekiwanego i to dużo gorszego.

Dla wielu rodziców nieprzezwyciężalną trudność stanowi poczucie własności. Mówimy: nasze dziecko, krew z krwi i kość z kości naszej. Wiążemy z nim n a s z e nadzieje, n a s z e ambicje, n a s z e plany. Decydujemy nawet o tym, z kim będzie się ono spotykać, a z kim nie, co więcej — zdarza się nam całkowicie eliminować kontakty z rówieśnikami w obawie przed złymi wpływami, wywieramy presję na wybór kierunku studiów. Przecież myśmy dali naszemu dziecku życie, wychowujemy je i utrzymujemy, więc traktujemy jak swoją własność. A cóż masz, czego byś nie otrzymał?

Wiele do myślenia na temat wzajemnego stosunku rodziców i dzieci może nam dać sam proces rozwoju człowieka od embriona aż do dojrzałości. Dopóki dziecko znajduje się w łonie matki, jest od niej całkowicie i bez reszty zależne. Jej pokarm jest jego pokarmem, jej oddech jest jego oddechem, jej

krew jest jego krwią. Ten jedyny okres całkowitej zależności kończy się z chwilą urodzenia. Niemal do symbolicznego aktu urasta przecięcie pępowiny, od którego to momentu dziecko z każdą chwilą oddala się od matki. Zaczyna spostrzegać inne osoby, interesować się otaczającymi go przedmiotami, zaczyna chodzić, coraz częściej puszczać rękę matki, wychodzić poza obręb kojca, pokoju, mieszkania, wychodzić na podwórze, i tak coraz dalej, aż do całkowitego wyjścia z domu.

Człowiek wierzący widzi w tym coś więcej niż tylko sposób rozmnażania się i fazy naturalnego rozwoju. Widzi w tym zamysł Stwórcy, żeby człowiek stopniowo zmierzał do usamodzielnienia się. Przez wydarzenie, jakim jest poczęcie i przyjście na świat naszego dziecka, przemawia do nas sam Bóg.

Czy ten znak od Boga umiemy odczytać? Pomóżmy sobie, wsłuchując się w to, co Bóg bezpośrednio do nas mówi na ten temat. „Wy, ojcowie, nie pobudzajcie do gniewu dzieci waszych, lecz napominajcie i wychowujcie je w karności, dla Pana" (Ef. 6:4; por. Kol. 3:21). Ten Pawłowy komentarz do piątego przykazania wyraźnie mówi o stosunku wzajemności, jaki łączy ze sobą dwa pokolenia. Cześć dla rodziców ma swój odpowiednik w należnym dzieciom z ich strony poszanowaniu ludzkiej osobowości. Przykazanie to nie jest jednokierunkową i do tego ślepą uliczką. Ruch odbywa się w obydwie strony, przy czym obowiązują określone zasady ruchu; nikt nie może poczynać sobie jak suwerenny właściciel drogi i lekceważyć innych jej użytkowników, bo dojdzie do kolizji, a nawet katastrofy. Paweł mówi nam więcej — nie wychowujemy dzieci dla siebie, ani nawet dla nich samych, ani też dla społeczeństwa, lecz dla Pana. To wychowanie dla Pana, w sposób paradoksalny ale zgodny z prawami Królestwa Bożego, jest jednocześnie i w konsekwencji wychowaniem i dla siebie, i dla nich samych, i dla społeczeństwa.

Jezus, gdy miał dwanaście lat, po raz pierwszy odbył wędrówkę z Nazaretu do Jerozolimy na święto Paschy. Stało się to zgodnie z tradycją; dwunastoletniego chłopca uważano za dorosłego, stawał się „synem Prawa" i musiał przyjąć obowiązki, które z Prawa wynikały. Zachował się jak dorosły i podjął decyzję zatrzymania się dłużej w świątyni. Nie postąpił tak po prostu dlatego, że miał na to ochotę, czy też że zamierzał dotknąć rodziców lekceważeniem, lecz dlatego, że uświadomił sobie swoją zależność przede wszystkim od Ojca. Podkreślił przez to, że chociaż jest z rodzicami związany, to stanowi odrębną, niezawisłą osobowość, a ta niezawisłość jest określona stosunkiem do Ojca, posłuszeństwem wobec Niego.

Spójrzmy jeszcze na tę sprawę z punktu widzenia miłości. Powszechnie uważa się za rzecz oczywistą, że w normalnej rodzinie panuje wzajemna miłość, która jest najważniejszym czynnikiem wiążącym ze sobą członków rodziny. Tylko... czymże jest miłość? Co mamy na myśli, gdy mówimy, że kochamy nasze dzieci? Czy w imię miłości nie zadajemy im gwałtu, czy imieniem miłości nie pokrywamy zwyczajnego egoizmu? Pojęcia miłości nie wyczerpie jedno określenie, ani nawet kilka, bo zbyt bogata mieści się w nim treść.

Spróbujmy jednak w kilku zdaniach określić o co chodzi, gdy mówimy o miłości. Przede wszystkim obejmuje ona poszanowanie ludzkiej osobowości, a więc i osobowości dziecka, prawo do wolności, a więc i do podejmowania odpowiedzialnych decyzji. Nie można mówić o miłości, jeżeli się nie ma do kochanej osoby zaufania i na każdym kroku się ją kontroluje, chyba że to zaufanie ona zawiedzie i zmusi do tego, by pewną szczególną postacią okazywania miłości stał się nadzór. Miłość pociąga za sobą konieczność i umiejętność wyrzekania się poczucia własności, przewagi, władzy, własnej przyjemności oraz dbanie o dobro bliźniego, a również własny syn czy córka są bliźnimi.

Naszkicowane tutaj uwagi nie roszczą sobie pretensji do rozwiązania problemu, jakim jest wychowanie dzieci, sprawa to nie tylko trudna i odpowiedzialna, wymagająca wiele trudu i poświęcenia, ale niezupełnie od nas zależna. Można zaprogramować maszynę tak, aby „zachowywała się" dokładnie według naszych przewidywań. Można nagrać na taśmie magnetofonowej zapis dźwiękowy, który w razie potrzeby zostanie dokładnie tak samo odtworzony. W wychowaniu jednak niczego takiego nie ma, bo tu odbywa się spotkanie ludzi, którzy wzajemnie na siebie oddziałują. Myli się ten, kto sądzi, że przez wychowanie kształtuje tylko dziecko; ono w nie mniejszym stopniu kształtuje rodziców, którzy również muszą dojrzewać do zrozumienia i uznania dorosłości swoich dzieci. Ponadto działają wpływy otoczenia, mnóstwo nieprzewidzianych i nieznanych bodźców, świadomie lub nieświadomie przez dziecko rejestrowanych. Wszystkie wpływy i bodźce na siebie się nakładają i są przetwarzane przez przyjmującego je człowieka, wpływając na kształtowanie się jego osobowości. Co z tego wyniknie, zależy przede wszystkim od „przyjmującego".

Wreszcie, czy jako ludzie wierzący możemy pominąć w naszych rachubach rolę, jaką odgrywa Bóg? Wiara, przede wszystkim nasza, i zaufanie do Boga mają ogromne znaczenie w procesie wychowawczym głównie dlatego, że uwalniają nas od zbytniej pewności siebie i od przerostu poczucia odpowiedzialności, pozwalają zrozumieć, jak bardzo ograniczone i jak często zawodne są nasze środki działania. Umożliwiają zachowanie rzeczy niezwykle cennej — spokoju, zwłaszcza w obliczu niepowodzenia, kiedy najbardziej potrzeba cichej i spokojnej ufności. W obliczu Boga musimy mieć poczucie spełnienia naszego rodzicielskiego obowiązku i przekazania najlepszych wartości. Reszta do nas nie należy. Jako ilustrację tego można przytoczyć następujące wyznanie syna.

Zanim mój ojciec umarł, zwrócił swoją twarz ku niebu z przepięknym uśmiechem szczęścia. Wtedy ktoś pochylił się nad jego łóżkiem i zapytał: jak możesz w taki sposób się uśmiechać, skoro ani jedno z twoich dzieci nie służy Panu?
Uśmiechnął się i odpowiedział: to nic nie znaczy. Sprawa rozstrzygnęła się już dawno. Wychowywałem je tak, jak On przykazał. One są bardzo uparte, ale Bóg je będzie prowadził. Każde bez wyjątku!
Dzisiaj każde z jego dzieci idzie tą samą drogą, co ojciec; tak, każde bez wyjątku!
Mówię wam, że Bóg słyszy modlitwy ojców i matek, którzy modlą się za swoje dzieci! On słyszy na pewno!

Księże Redaktorze!

Słyszałem, że Ksiądz przygotowuje numer „Jednoty" poświęcony rodzinie, przede wszystkim zaś rodzicom i dzieciom oraz wzajemnej relacji pomiędzy nimi. Chciałbym więc i ja swoje „trzy grosze" wtrącić. A chodzi mi o czas dla dzieci. Czas, który im rodzice poświęcają lub nie poświęcają.

Czytałem kiedyś o ojcu lekarzu, który — bardzo zajęty w różnych miejscach pracy — nie miał czasu zająć się nawet sprawami zdrowotnymi swego dziecka. W końcu doszło do groteskowej sytuacji. Jakież było zdumienie lekarza, gdy do jego gabinetu w przychodni weszła, oczekująca dotąd spokojnie w kolejce, jego żona z własnym jego dzieckiem jako pacjentem. Wtedy się ocknął i pomyślał o swojej winie.

Niedawno w telewizji był wyświetlany film amerykański, którego niewielki fragment oglądałem. Ale w tym niewielkim fragmencie było coś, co kazało mi się zamyślić nad sobą i swoimi dziećmi, nad czasem, który my, rodzice, dzieciom poświęcamy. W filmie była mowa o kilkunastoletnim chłopcu, który będąc z jakiejś okazji z rodzicami na lotnisku, mógł wejść na plac startowy, gdzie stały sportowe, jednoosobowe samoloty. Strzeliło mu do głowy, aby wejść do takiego samolotu i pobawić się urządzeniami, a potem — aby zakosztować lotu. I zrobił to. Oczywiście w powietrzu „stracił głowę" i nie wiedział, co dalej robić. Gdy zorientowano się na lotnisku, co się dzieje, wystartował komendant lotniska i z wielkim trudem, pouczając chłopca przez radio, jak ma postępować, sprowadził go na ziemię. Gdy rodzice przepraszali komendanta lotniska za wybryk syna, ten odpowiedział: „To nie jego wina, lecz tych, którzy nie mają dla niego czasu".

Księże Redaktorze, czy nie jest tak, że wielu rodziców zbyt mało czasu poświęca swoim dzieciom? Nie chodzi mi o czas, który przeznaczamy na sprawdzenie odrobionych lekcji, na dopilnowanie lub pomoc w nauce, ale o czas wolny dla dziecka i z dzieckiem, kiedy można sobie po prostu pogawędzić, pospacerować po lesie, powędrować po polach, pograć w piłkę czy wyjechać gdzieś na rowerach, pożartować i pozbytkować.

Jakże często wyręczamy się obozami i koloniami, aby mieć urlop spokojny. Niektórzy powiadają: można lepiej wypocząć, gdy urlop spędza się samemu, z dala od tego wszystkiego, co się ma na codzień przez cały rok. A co przez cały rok? Spotkania z dziećmi przy kolacji, potem dzieci — do swoich zajęć, rodzice — do swoich, bo trzeba to i owo jeszcze zrobić, bo się ma jeszcze jakąś robotę po godzinach pracy, którą trzeba w domu wykonać. Aktywni ludzie mają zawsze coś do zrobienia. Jedni są bardzo zaangażowani w pracy zawodowej i społecznej. Wiele najróżniejszych spraw, wiele najróżniejszych funkcji, bo trzeba być pożytecznym. Ale nie ma czasu dla rodziny. Inni — zagonieni, aby zarobić, jak najwięcej zarobić. Bo trzeba to i owo kupić, bo trzeba wpłacać na samochód, bo można pojechać na drogi urlop do Bułgarii. Życie oferuje tyle możliwości! Jak tu z nich nie korzystać? Stąd gonitwa za zarobkiem. Ale dla rodziny czasu nie ma.

Księże Redaktorze, czy ten brak czasu, to nie jest w wielu przypadkach wymówka? Czy nie usprawiedliwiamy się często przed swoim sumieniem tym sakramentalnym „nie mam czasu"? Ja wiem, że w wielu przypadkach życie narzuca przeciążenie pracą i obowiązkami. Ale czy bardzo często sami nie jesteśmy winni, że mamy źle urządzony czas? Nie chodzi mi o złą organizację czasu, ale o to, że przyjmujemy zbyt wiele obowiązków na siebie. Ktoś musi na tym cierpieć. Biada, gdy na tym traci rodzina, dzieci.

Księże Redaktorze, ja też mam sumienie obciążone tym, że zbyt mało czasu miałem dla rodziny. I dlatego tymi myślami chcę się podzielić. Może to się komuś przyda, może każe zastanowić się nad sobą i sprawami własnej rodziny.

Łączę dla Księdza Redaktora serdeczne pozdrowienia

WESS

ALINA WERNER

Dziecko – istota nieznana

Wszyscy byliśmy kiedyś dziećmi. Wszakże postępujące naprzód życie zatarło i zmieniło nasze pierwotne spojrzenie na świat. Reagujemy już inaczej na otoczenie, myślimy innymi kategoriami, kierujemy się różnymi nawykami, z których nawet nie zdajemy sobie sprawy. Nie posiadamy już tej świeżości uczuć, bezpośredniości w okazywaniu ich, inne są nasze pragnienia i sądy. Dziecko otwiera się ku życiu jak pąk i zawiera w sobie tyle różnych możliwości. Ponieważ wzrasta w cieniu człowieka dorosłego — swych rodziców lub opiekunów, od nich czerpie wiedzę o świecie i ich także bezkrytycznie naśladuje.

Trudno jest czasem zrozumieć tego małego „człowieczka". Bywają dzieci bardzo nieśmiałe, które we własnym domu, a jeszcze bardziej w szkole lub wśród silnych i pełnych wigoru rówieśników, wykazują szereg zahamowań i są tak trudne do odczytania. Musimy zrozumieć intensywność przeżywanych przez nie cierpień (które nam wydają się tak błahe), umieć odróżnić wybujałą fantazję od kłamstwa, a krnąbrność i przekorę od jakichś głębszych spaczeń charakteru nabytych przez niewłaściwe wychowanie.

Ponieważ dużo mówi się dzisiaj o adoptowaniu dzieci, o zastępczym opiekuństwie, chciałabym powiedzieć parę słów o dzieciach odchylających się w znacznym stopniu od przeciętności, a mianowicie o dzieciach kalekich. Czekają one bardziej od innych na ciepło i miłość prawdziwego domu nie tylko z racji swej nadwrażliwości spowodowanej kalectwem, lecz także dlatego, że są przeważnie (w sanatorium rehabilitacyjnym, o którym piszę) sierotami.

W książce pt. „Ergoterapia w wychowaniu dziecka upośledzonego fi-

Dokończenie na s. 10

Dokończenie ze s. 9

zycznie"[1] Jacek Nawrot podaje bardzo ciekawy i wszechstronny obraz leczenia dzieci pracą, tzw. terapią zajęciową i oddziaływaniem wychowawczym. Wysiłki lekarzy, personelu pomocniczego i ergoterapeutów zmierzają do tego, aby zwalczyć w dziecku poczucie odrębności i przygotować je do życia wśród normalnych, zdrowych rówieśników. Na końcu tej 167-stronicowej pracy, bogato ilustrowanej fotografiami, podano bardzo ciekawy materiał praktyczny — wyniki długotrwałych obserwacji nad dziećmi, ich przystosowaniem się do wybranej dla nich pracy i ich postępami. Są to „karty przebiegu usprawnienia", indywidualne dla każdego wychowanka. Pełno w nich ciekawych spostrzeżeń — kopalnia wiedzy dla psychologa i wychowawcy. Autor notuje nie tylko własne obserwacje, cechy charakteru dziecka, lecz także jego reakcje słowne, stosunek do kolegów i całego otoczenia. Praca wśród kalek wymaga pełnego zaangażowania i cierpliwości. Dzieci pracują w swych „pracowniach" po lekcjach szkolnych, za najciekawsze więc rozdziały uważam takie, jak: atmosfera pracowni, dystans i autorytet, oceny negatywne i pozytywne, sankcje itp. Lektura ta właściwie dotyczy należytej postawy wobec dzieci w ogóle, a nie tylko wobec dzieci kalekich. Są to bowiem uwagi człowieka kochającego dzieci i posiadającego jakąś wrodzoną intuicję, która pozwala bezbłędnie rozszyfrować ten ciekawy świat małych istot.

Warto na zakończenie przytoczyć cytat z tej książki (s. 88):

Niejednokrotnie można się spotkać z uzasadnieniami takimi, jak np. potrzeba zachowania autorytetu. Ale jest stwierdzonym wielokrotnie faktem, że sztuczne podkreślanie tego autorytetu, przybieranie pozy (choćby i nawet życzliwej) dzieci natychmiast kontrują biernym oporem, kpiną, przekorą. Natomiast jeżeli wychowawca doprowadzi do tego, że usłyszy od dziecka „ale pan jest śmieszny!", to ma powód do słusznej dumy; usłyszał wypowiedziany swobodnie jeden z największych komplementów (bo dzieci bardzo wysoko cenią poczucie humoru), a nie spotkał się z oznaką braku szacunku. (Tylko w pojęciu ludzi dorosłych śmieszność jest określeniem pejoratywnym.)

[1] PZWL, Warszawa 1973.

Przyjacielowi z okazji osiemdziesiątych urodzin

Być osiemdziesięciolatkiem to jest sztuka, którą mało kto potrafi opanować. A temu, kto ją opanuje, jak Ty, można już niewiele ponad to życzyć. Człowiek może tylko s o b i e życzyć, żeby się tej sztuki nauczył. A ja naprawdę próbuję i usiłuję — chociaż mam na swym koncie niewiele ponad połowę Twoich lat — zdobyć tę umiejętność. I dlatego moja wypowiedź ograniczy się do tego, że Ci o p i s z ę tę sztukę, której Ty się uczyć nie musisz. Bo co człowiek opisze, sam lepiej zrozumie, a co zrozumie, później może urzeczywistnić.

Pierwszą sztuką jest to, że potrafisz d z i ę k o w a ć. Jest przywilejem młodości, że nie zadowala się ona tym, co posiada. W takim zrozumieniu niektórzy ludzie są wiecznie młodzi. Tylko że to nie jest ładny sposób na utrzymanie młodości. Człowiek jeszcze na starość wspomina, co mu się w życiu udało: jakaś wielka wygrana, wysokie stanowisko w pracy, jakaś daleka podróż, dobry, bogaty ożenek wnuka... A przecież jest wielu ludzi, którzy to mają, a niektórzy z nich — jeszcze więcej. Tu mieszka jeden, tam drugi i jeszcze ktoś — słowem jest ich tylu, że człowiek zupełnie zapomina o tych, co posiadają mniej. Ty natomiast o nich nie zapomniałeś. Twoje życie jest skarbem, a Ty przeżywasz swoje dni w ten sposób, że przebierasz w skarbach: dzisiaj weźmiesz w rękę brylant, jutro agat, pojutrze ametyst. I z każdym wiąże się jakieś wspomnienie, przygoda: wakacje w górach, pierwszy spacer z Twoją przyszłą żoną, kalendarz na biurko, który dla Ciebie wykonał własnoręcznie najstarszy syn, jakaś drogocenna książka, którą czytałeś... Wiele zdarzeń, Twoich zdarzeń.

Owszem, na tej Twojej drodze było wiele twardych kamieni, ale Tyś ich nie podnosił. Nie były tego warte. Pozostały na drodze. Kto by tam dziś wspominał o twardych kamieniach. W ten sposób stałeś się bogatym bez majątku.

Drugą sztuką Twego życia jest to, że potrafisz u w a ż n i e s ł u c h a ć. Wiesz bardzo wiele, ale stale jeszcze znajdujesz miejsce na nowości. Jak śmieszne musi Ci się wydawać wiele z tego, co Ci opowiadamy, ale Twój słuch widocznie sięga dalej. Potrafisz wysłuchać także i niedorzeczności. Posiadasz uszy, które są w stanie słyszeć — nawet i u mówiących głupstwa — bicie serca, odczuwającego żal lub radość; a to dlatego, że Twoi rozmówcy chcą uwolnić się od siebie samych, zagłuszyć sumienie. Ty wiesz dokładnie, kiedy trzeba tylko słuchać, a kiedy doradzić, ale swojej rady nie narzucasz.

Trzecią sztuką jest to, że stale się jeszcze u c z y s z. Zrozumiałeś, że wiele z tego, co jest dziś, różni się całkowicie od tego, co było dawniej. Nigdy się nie złościsz, że dzisiejsza muzyka brzmi inaczej niż za czasów Ryszarda Wagnera. A przecież tyle napięć powstaje w rodzinach z tego powodu, że synowe coś tam inaczej robią w kuchni, niż to czyniły ich teściowe przez całe życie... „Dawniej było całkiem inaczej" — tak brzmi to tradycyjne już sformułowanie. Ty utrzymałeś tempo czasów, pozostałeś młodym. Faktycznie sprawdzone metody przeżycia Twoich osiemdziesięciu lat nie są nigdy aż tak ustalone, żebyś nie mógł ich jeszcze raz sprawdzić i odnowić. I to właśnie umożliwia Ci żywy kontakt z nami, młodszymi. Kontakt, który nie pozwoli Ci się zestarzeć. Ilu Twoich równolatków pozostaje osamotnionych dlatego, że nie wszyscy ich rówieśnicy dożywają tylu lat, a oni utrzymują kontakt tylko ze swoją generacją. I nagle pozostają sami. Ty nie będziesz nigdy osamotniony — może i my kiedyś nie będziemy.

I wreszcie czwartą Twoją sztuką jest to, że potrafisz r o z m y ś l a ć. Kiedy jesteś zmęczony czytaniem, nie nudzisz się, gdyż masz dość materiału do rozmyślań. Utrzymujesz kontakt z ludźmi, o których warto pomyśleć. A z wielu tych rozmyślań bezpośrednio wynika przyczynna modlitwa. Ile zawdzięczamy tym modlitwom, nawet jeśli o tym nie wiemy! I jak nam potrzeba ludzi, którzy na te modlitwy znajdują czas.

Dlatego, kończąc, życzę Ci tylko jednego: ażebyś tej swojej sztuki życia nie zatrzymywał dla siebie, lecz przekazywał ją nam wszystkim, którzy może także dożyjemy Twoich lat: i byśmy umieli na ten okres życia przygotowywać się z radością.

D. Mendt, „Kostnicke Jiskry" 1974, nr 36

Tłum. B. N.

KAROL KARSKI

Filip Potter w Polsce

Ks. dr Filip Potter, dyr. Barbara Enholc-Narzyńska i ks. prof. Witold Benedyktowicz podczas wizyty w Towarzystwie Biblijnym

Polska Rada Ekumeniczna od początku swego istnienia stara się pielęgnować stosunki ze Światową Radą Kościołów. Temu celowi służy m. in. udział przedstawicieli Kościołów zrzeszonych w PRE w różnych zgromadzeniach, posiedzeniach i gremiach ŚRK. W ciągu minionych trzydziestu lat gościliśmy również w Polsce wielu czołowych działaczy i pracowników Centrum Ekumenicznego w Genewie. Pierwszy sekretarz generalny ŚRK, dr W. A. Visser't Hooft, przebywał w naszym kraju w 1958 r. w związku z uroczystością poświęcenia ewangelicko-augsburskiego kościoła św. Trójcy w Warszawie. W listopadzie 1971 r. gościliśmy jego następcę, dr E. C. Blake'a. W dniach 23—26 kwietnia br. odwiedził Polskę obecny sekretarz generalny, dr Filip Potter. Towarzyszył mu pracownik Wydziału Pomocy Międzykościelnej, Piet Bouman. Celem wizyty sekretarza generalnego było zapoznanie się z działalnością PRE i jej Kościołów członkowskich oraz nawiązanie ściślejszej łączności polskich Kościołów z Centrum Ekumenicznym w Genewie.

Dr Filip Potter jest Mulatem, urodził się w 1921 roku w rodzinie metodystycznej, na Dominice, w rejonie Wysp Karaibskich. Ma wieloletnie doświadczenie ekumeniczne. Od 1954 r. kierował Wydziałem Młodzieży ŚRK, przez wiele lat, do 1968 r., piastował funkcję przewodniczącego Światowej Federacji Studentów Chrześcijańskich, w 1967 r. został jednym z zastępców sekretarza generalnego ŚRK i dyrektorem Wydziału do Spraw Światowej Misji i Ewangelizacji. Pod jego kierownictwem Wydział ten stał się w niedługim czasie tą instancją w Radzie, która dostrzegła wartości myśli teologicznej w tzw. Trzecim Świecie. Po zreorganizowaniu struktury Rady, Potter mianowany został w lutym 1971 r. przewodniczącym pierwszego zespołu programowego — „Wiara i Świadectwo". Komitet Naczelny, na posiedzeniu w Utrechcie, w sierpniu 1972 r., wybrał go na stanowisko sekretarza generalnego ŚRK.

Dla całego szeregu działaczy ekumenicznych w Polsce dr Potter jest postacią dobrze znaną, ponieważ mieli już możność zetknięcia się z nim podczas różnych posiedzeń ekumenicznych, w toku współpracy z Wydziałem Młodzieży i Wydziałem do Spraw Misji Światowej i Ewangelizacji oraz podczas studiów i konferencji w Instytucie Ekumenicznym w Bossey k. Genewy, toteż witano go w Polsce jak dobrze znanego i starego przyjaciela.

Program jego pobytu był bardzo obfity. Na warszawskim lotnisku powitali go: ks. prof. dr Witold Benedyktowicz — prezes PRE, ks. metropolita Bazyli — zwierzchnik Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego i ks. Zdzisław Pawlik — sekertarz PRE. Wkrótce po przybyciu został przyjęty przez wicepremiera i ministra kultury i sztuki, Józefa Tejchmę. W rozmowie uczestniczyli też: minister Kazimierz Kąkol — kierownik Urzędu do Spraw Wyznań i ks. Witold Benedyktowicz. Dr Potter odbył dwie rozmowy robocze z czołowymi działaczami PRE (23 i 25 kwietnia). Złożył wizytę w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, gdzie spotkał się z pracownikami naukowymi i studentami, oraz w Polskim Oddziale Brytyjskiego i Zagranicznego Towarzystwa Biblijnego. W zborze metodystycznym wygłosił kazanie, którego mieli możność wysłuchać wierni różnych wyznań. Ponadto przeprowadził rozmowę z przedstawicielami Komisji Episkopatu do Spraw Ekumenizmu. Przedostatniego dnia pobytu odbyło się w siedzibie PRE przyjęcie z udziałem członków Prezydium oraz przedstawiciela Urzędu do Spraw Wyznań, dyr. Tadeusza Dusika. Na zakończenie odbyła się konferencja prasowa z udziałem przedstawicieli prasy protestanckiej, katolickiej i świeckiej. Pożegnalnym obiadem podjął sekretarza generalnego ks. metropolita Bazyli, który udekorował gościa najwyższym odznaczeniem kościelnym, orderem św. Marii Magdaleny, nadanym mu

Ks. bp Janusz Narzyński, ks. prof. Witold Benedyktowicz i ks. dr Filip Potter na posiedzeniu Polskiej Rady Ekumenicznej

przez Synod Biskupów prawosławnych. Podobne odznaczenie otrzymał również Piet Bouman. Dr Potter zwiedził też Muzeum Historyczne Warszawy.

24 kwietnia dr F. Potter przebywał w Krakowie i Oświęcimiu. Podczas pobytu w Krakowie zapoznał się z historią miasta, zwiedził m. in. Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego, Collegium Maius oraz spotkał się z przedstawicielami oddziałów wojewódzkich PRE z Krakowa i Katowic. Sekretarz generalny przedstawił wojewódzkim działaczom ekumenicznym problematykę najbliższego Zgromadzenia Ogólnego ŚRK. Podczas zwiedzania Obozu Zagłady w Oświęcimiu złożył wieniec pod ścianą śmierci. W podróży tej dr. Potterowi towarzyszyli: ks. W. Benedyktowicz, ks. Z. Pawlik i P. Bouman.

Przedstawiciele PRE w rozmowach z dr. Potterem omówili polskie tradycje ekumeniczne sięgające XVI i XVII w. oraz dorobek PRE w minionym trzydziestoleciu. Ks. Benedyktowicz naświetlił stosunki łączące PRE z Kościołami i radami ekumenicznymi w różnych krajach, współpracę z Konferencją Kościołów Europejskich i Chrześcijańską Konferencją Pokojową. Poinformował też o pracy różnych komisji PRE oraz o nawiązaniu rozmów z Komisją Episkopatu do Spraw Ekumenizmu. Podkreślił, że współpraca Kościołów na płaszczyźnie krajowej znajduje na ogół odzwierdlenie na płaszczyźnie lokalnej.

Przechodząc do omówienia stosunków pomiędzy PRE a ŚRK, ks. Benedyktowicz stwierdził, iż zależy nam na doskonaleniu tych stosunków. Współpracujemy już z niektórymi komisjami ŚRK i wyrażamy gotowość do rozszerzenia współpracy. Bylibyśmy zadowoleni, gdyby kierownictwo ŚRK chciało skorzystać z naszej oferty. Ks. Benedyktowicz dodał, że PRE jest zainteresowana, by podczas najbliższego Zgromadzenia Ogólnego w Nairobi przedstawicielowi Polski przyznano miejsce w Komitecie Naczelnym. Bardzo byśmy się cieszyli, gdyby zapraszano nas na wszelkie konferencje organizowane przez ŚRK, gdyż w ten sposób mielibyśmy możność rozwijania naszej służby ekumenii. Jesteśmy niezmiernie wdzięczni za wszelką pomoc ze strony ŚRK, chcielibyśmy nadal z niej korzystać, chociaż marzymy o czasach, w których będziemy mogli sami wspierać ŚRK — stwierdził na zakończenie prezes PRE.

Dr Potter podkreślił w swoim przemówieniu, że choć pochodzi z dalekich stron, to jednak od najmłodszych lat Polska oznaczała dla niego wiele. Jako młody chłopiec dużo czytał o naszym kraju. Dobrze rozumie cierpienia narodu polskiego, gdyż jego własny naród też wiele przecierpiał. Polska jest dla niego symbolem tego, że cierpienia mogą stać się matką nadziei. Osiągnięcia polskie w okresie po drugiej wojnie światowej wyrażają ducha narodu.

Ustosunkowując się do słów prezesa PRE, dr Potter stwierdził, iż PRE zajmuje wyjątkową pozycję w kraju zamieszkałym przez większość katolicką. Wyraził zadowolenie, że niektórzy ekumeniści polscy angażują się w prace pewnych komisji ŚRK. Zależy nam — powiedział — na rozszerzeniu współpracy z PRE, przeto byłoby wskazane, gdyby dostarczono do Genewy listę osób, które mogłyby stale współpracować z poszczególnymi gremiami ekumenicznymi. Kierownictwo ŚRK będzie miało też na uwadze postulat w sprawie kandydowania przedstawiciela Polski do Komitetu Naczelnego. Nie będzie to jednak prosta sprawa, gdyż w Nairobi znajdą się reprezentanci ok. 280 Kościołów, a miejsc w Komitecie Naczelnym jest tylko 125. W toku dalszych wywodów sekretarz generalny podkreślił, że ŚRK przywiązuje dużą wagę do rozwijania stosunków z Kościołami w krajach socjalistycznych, ale zarazem wyraził pogląd, że pozycja tych Kościołów w ruchu ekumenicznym nie jest jeszcze jasno sprecyzowana. Podczas niedawnego VII Zgromadzenia Ogólnego Konferencji Kościołów Europejskich w Engelbergu (1974) odniósł wrażenie, że działacze kościelni Wschodu i Zachodu rozmawiali paralelnie, obok siebie. Krytycznie dodał, iż — jego zdaniem — Kościoły w Europie wschodniej dostosowały się wprawdzie pod względem pragmatycznym do przemian społeczno-politycznych, ale pod względem teologicznym żyją w czasach przeszłych. Nie możemy się doczekać teologicznej refleksji nad problemem, co oznacza być chrześcijaninem w społeczeństwie socjalistycznym. (Powyższe wywody spotkały się z krytyką podczas dyskusji.)

Jak już wspomniano, 25 kwietnia odbyło się w siedzibie PRE spotkanie dr. Pottera z przedstawicielami Komisji Episkopatu do Spraw Ekumenizmu. Komisję reprezentowali: ks. bp Władysław Miziołek — przewodniczący, ks. Stanisław Szymański — sekretarz, ks. doc. dr Bronisław Dembowski, o. Aleksander Hauke-Ligowski i o. Roman Lorycki. Z ramienia Rady obecni byli dwaj członkowie Zarządu — ks. Z. Pawlik i ks. Adam Kuczma. Podczas rozmowy ks. bp Miziołek poinformował sekretarza generalnego o rozwoju idei ekumenicznej w Kościele katolickim w Polsce oraz o inicjatywach ekumenicznych podejmowanych wspólnie z PRE, zwłaszcza w ramach Tygodnia Modlitwy o Jedność Chrześcijan. Ks. Biskup wspomniał też o dotychczasowych wynikach pracy Wspólnej Komisji PRE i Kościoła katolickiego, która w okresie rocznego istnienia odbyła dwa posiedzenia.

Dr Potter, ze swej strony, omówił sytuację w stosunkach między Watykanem a Genewą.

Sprawie stosunków pomiędzy Watykanem a Genewą poświęcono też dużo uwagi na konferencji prasowej, która odbyła się na kilka godzin przed wyjazdem sekretarza generalnego z Polski. Dr Potter stwierdził, że współpraca ta układa się dobrze na wielu płaszczyznach, chociaż o przystąpieniu Kościoła katolickiego do Rady nie ma na razie mowy. Sytuacja jeszcze do tego nie dojrzała. Nie ma żadnych przeszkód doktrynalnych, tylko strukturalne, i to po obu stronach. Jego zdaniem przyszłe zbliżenie zależeć będzie przede wszystkim od rozwoju sytuacji na płaszczyźnie lokalnej i krajowej. Ponadto dziennikarze pytali dr. Pottera o takie sprawy, jak: Kościoły afrykańskie a ŚRK, dialog dwustronny, dialog z religiami niechrześcijańskimi, kontakty ŚRK z Kościołami nie zrzeszonymi, kongres ewangelizacyjny w Lozannie (1974) a ŚRK. Zapytany o impresje z pobytu w naszym kraju, dr Potter odpowiedział, iż jest bardzo zadowolony z przybycia do Polski. W ciągu zaledwie kilku dni mógł się zapoznać z życiem Kościołów niestety tylko na szczeblu zarządów. Za zjawisko wyjątkowe uważa Chrześcijańską Akademię Teologiczną, która kształci przyszłych duchownych Kościołów o różnych tradycjach; uczelnia ta zrobiła na nim duże wrażenie. Następnie dodał: zdaję sobie sprawę z obciążeń historycznych, które rzutują na stosunki katolicko-protestanckie w Polsce. Mimo to jestem zaskoczony, że nie ma dostatecznej współpracy między Kościołem rzymskokatolickim a innymi Kościołami. Mam nadzieję, że dobra atmosfera współpracy pomiędzy Watykanem a Genewą udzieli się także Kościołom w Polsce. Dialog między Kościołami w waszym kraju winien się bardziej rozwijać.

Byłoby dobrze, gdyby wszyscy chrześcijanie w Polsce wzięli sobie do serca powyższe słowa sekretarza generalnego ŚRK.

ZBIGNIEW JAKUBOWSKI

Świat smutku i piękna

Przed kilkunastu laty, w niedługi czas po śmierci Józefa Bergera, pojawiło się kilka artykułów omawiających lakonicznie jego życie i działalność. Przy okazji otwarcia wystawy jego cyklu oświęcimskiego w Krakowie, w roku 1974, przypomniano jeszcze raz bogate w trudy i walkę życie duchownego, działacza społeczno-kulturalnego na Śląsku Cieszyńskim i artysty malarza.

Niezmiernie trudno w jednym krótkim opracowaniu ująć olbrzymie bogactwo wartości duchowych, które z jednej strony stanowiły o sile Józefa Bergera w latach okupacji i podczas pobytu w obozie koncentracyjnym, z drugiej zaś odzwierciedliły się w jego malarstwie, pełnym spokoju, realizmu, ale równocześnie i tragedii ludzi, dla których, jak się wydawało, nie istniała już żadna szansa przetrwania i powrotu do normalnego życia.

Józef Berger urodził się 13 III 1901 roku w Orłowej, na Śląsku Cieszyńskim. Polskie gimnazjum ukończył w rodzinnej miejscowości. Następnie rozpoczął studia teologii ewangelickiej na Uniwersytecie Warszawskim, kontynuowane w Wiedniu, Bazylei, Strasburgu i zakończone stopniem doktora teologii ewangelickiej. Do roku 1939 Józef Berger organizował Kościół ewangelicki wśród Polaków Zaolzia, gdzie podejmował liczne akcje kulturalne i społeczne. W październiku 1939 roku został aresztowany przez gestapo i uwięziony w Cieszynie, a następnie wywieziony z transportem więźniów do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Stamtąd po pewnym czasie przetransportowano go do Dachau. W tych niezmiernie ciężkich warunkach pozostał do roku 1942, kiedy to zwolniono go z obozu i skierowano do przymusowej pracy w fabryce w Kędzierzynie.

Po zakończeniu drugiej wony światowej, w roku 1945 Józef Berger objął stanowisko zwierzchnika Kościoła ewangelickiego na Zaolziu, którą to funkcję piastował do roku 1952, kiedy złożył urząd i wraz z rodziną przeniósł się na stałe do Bratysławy, gdzie objął katedrę teologii systematycznej. Na stanowisku profesora pozostawał do śmierci. Zmarł w Bratysławie 11 czerwca 1962 roku. Encyklopedyczne przedstawienie najważniejszych dat z życia Józefa Bergera i usystematyzowanie w porządku chronologicznym zajmowanych przez niego stanowisk na pewno nie daje właściwego poglądu na bogactwo treści, wypełniającej okresy jego działania. Przyjrzyjmy się jego dorobkowi malarskiemu, w którym najpełniej to bogactwo uwidoczniło się, będąc dla potomnych dobrą lekcją życia.

O takich jak on artystach zwykło się mówić: malarz — amator. Czy jednak można sformułowanie to łą-

MOTTO:

„Który jesteś nade mną i we mnie,
dałeś mi ból i gorycz.
wplotłeś bezsiłę w oddech i krok każdy,
daj, abym mógł zawsze patrzeć
w spokojne Twe niebo, białe od chmur
i migotliwe od gwiazd..."

Stanisław Marczak-Oborski: „Modlitwa")

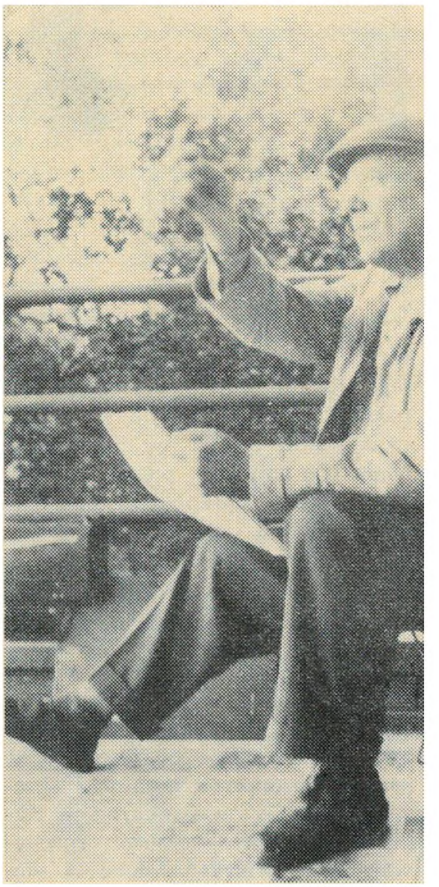

czyć z pracami Bergera? Twórczość jego to nie amatorskie chwytanie palety, ale przemyślane do końca ukazywanie świata w całym jego bogactwie smutku i piękna. Wydaje się być ona doskonałym odbiciem rzeczywistości zarówno z okresu przebywania autora w obozie koncentracyjnym, jak też rzeczywistości otaczającego świata przyrody, barw, tak często nie dostrzeganych w codziennym życiu. Bezpośrednio po powrocie z obozu Berger tworzył rysunki i akwarele, które odzwierciedlały życie obozowe. Są to proste, niezmiernie wymowne obrazy, z całą prawdą ukazujące tragizm obozowych męczarni. Powstawały one prawdopodobnie z wewnętrznej potrzeby autora, a może były próbą uwolnienia się od obozowych wizji, które pod powiekami artysty pojawiały się uporczywie jak zły sen.

Zamiłowania Bergera do malarstwa należy szukać daleko wcześniej, w latach młodości. Ale cykl obozowy reprezentuje inną twórczość. Twórczość nie dla relaksu. Syn artysty, Jan Berger, także artysta malarz, mówiąc o rysunkach oświęcimskich ojca, scharakteryzował je w sposób następujący: „Prace te są wizjami głodu, strachu, albo też zapisem niedawno przeżytej rzeczywistości, bez śladów alegorii i symboliki. Są żywym świadectwem. Sprawy malarstwa nie odegrały tu świadomie żadnej roli, chociaż kojarzy się ono z pewnymi cechami klimatu surrealistycznego".

W latach 1946—1947 powstała seria portretów i krajobrazów w technice akwareli. Podjęta po wojnie tematyka obozowa powróciła jednak w twórczości Bergera w latach 1957—1958. Być może o powrocie do obozowych wspomnień zaważył pogarszający się stale stan zdrowia malarza. Ale trzeba powiedzieć, że w rysunkach obozowych te twarze, nieco wyolbrzymione, twarze ludzi wygłodzonych i żyjących w straszliwych męczarniach, nie zatraciły ludzkiej godności, której nie zdołała zdusić czarna rzeczywistość obozowego życia, gdy można było zapomnieć, że się jest człowiekiem.

Coraz bardziej doskonalony warsztat malarski, podejmowanie nowych tematów, specyfika i piękno dorobku artystycznego Bergera przyczyniły się bezspornie do faktu, że w roku 1958, na cztery lata przed śmiercią, przyjęto go do Stowarzyszenia Artystów Plastyków w Bratysławie. Jego malarstwo weszło do dorobku kulturalnego Słowacji, stało się dostępne szerszym warstwom społeczeństwa, budząc reakcje zadumy, podziwu i refleksji nad życiem i otaczającym światem.

Ostatnie lata życia poświęcił Berger systematycznej pracy nad krajobrazami, które, wykonane najczęściej techniką akwareli, w sposób pełen uroku rejestrowały różne zakątki ziemi, pełne słońca i zieleni.

Czyżby chodziło artyście o to, żeby piękno ludzkiej twarzy i piękno przyrody, jakieś piękno ogólne, całkowite, zamknąć w ramy obrazów, zanim zostanie zniszczone i zdeprawowane?

Motywy, jakiekolwiek były, pozostaną na zawsze tajemnicą twórcy. Odbiorca dostrzega jedynie piękno ukazane w sposób prosty i bliski naszym marzeniom o zachowaniu i uratowaniu wszystkiego, co potrafi człowieka uwolnić od codziennie przeżywanych rozterek i smutków.

Obrazy te można oglądać jedynie z pewnej odległości, gdyż przy bliższym studiowaniu odnosi się wrażenie, że są one w swych kształtach nieco rozlane, może mało czytelne. W całej twórczości Bergera przejawiają się dwa motywy: jeden, będący koszmarnym snem obozowych dni, i drugi, który można uważać za próbę ucieczki, a może jeszcze bardziej — za przeciwstawienie się wszelkiemu złu, niesprawiedliwości i cierpieniu człowieka na ziemi.

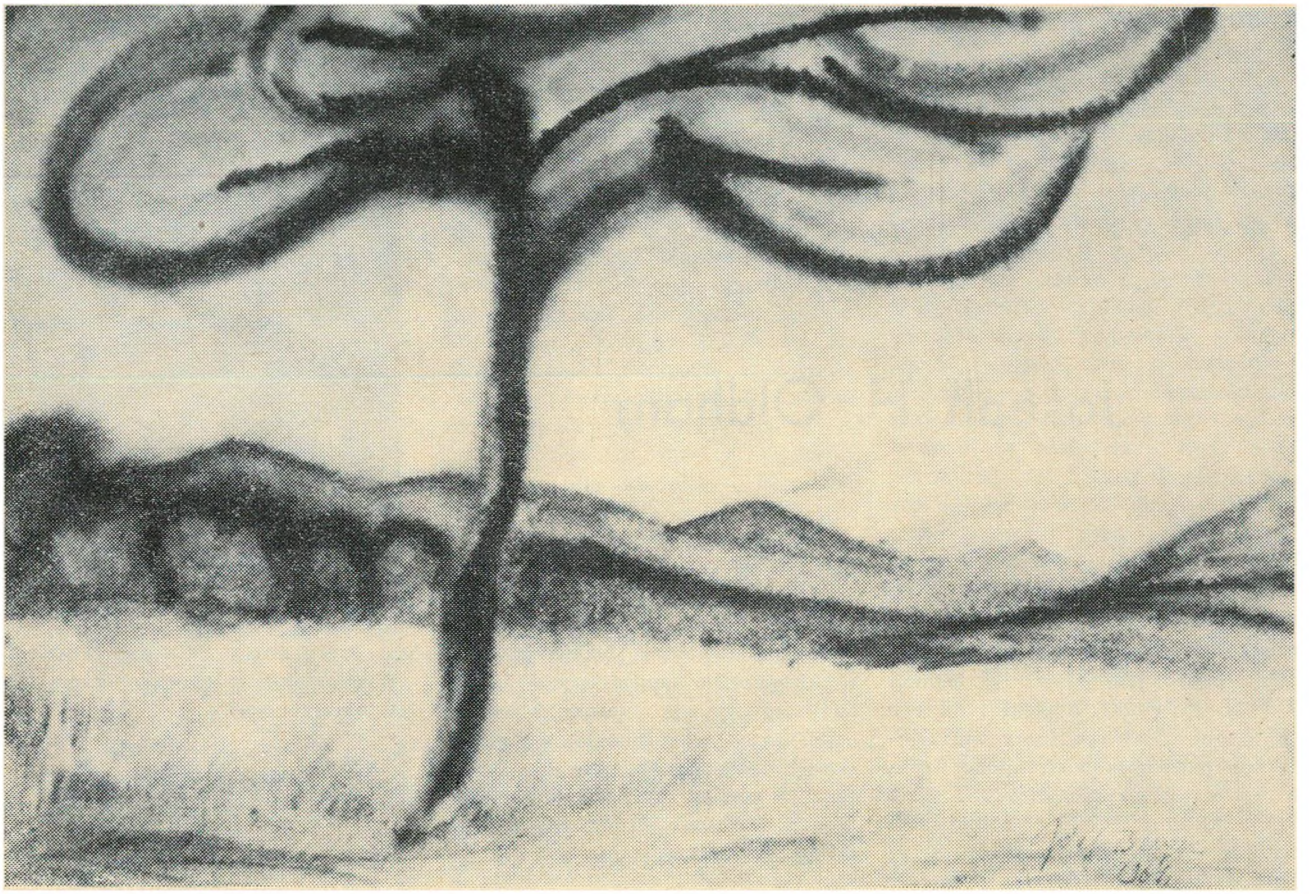

Pejzaże są przeciwstawieniem beznadziejnych dni wojny i okupacji. Cykl obozowy, to opowieść o ludziach, dla których zieleń rośliny to jedynie źdźbło trawy lub chwast w obozowej zupie; a kolor codziennego życia — to brudna czerwień równo stojących baraków obozowych i monotonia pasiaków. Są to rysunki czarno-białe może właśnie dlatego, żeby nie zatrzymywać w pamięci tamtych barw, wzbudzających określone skojarzenia. Twarze ludzkie, czy też całe postacie pojawiające się na tle zabudowań lub pejzaży, wydają się być (poza cyklem obozowym) nieczytelne, trudne do zidentyfikowania. Dzieje się tak może dlatego, że na zawsze pozostała w pamięci Bergera wizja tamtych, pooranych zmarszczkami, naznaczonych piętnem głodu i wycieńczenia ludzkich oblicz.

Życie w tak trudnych warunkach, w jakich znalazł się Berger, musiało mieć bardzo konkretną podbudowę wewnętrzną, która dodawałaby mu sił. Bez wątpienia funkcję taką spełniała Biblia, czytana codziennie, i zaangażowanie się artysty w żywy kontakt ze Stwórcą wszelkiego piękna. Pamięć o Nim pozwalała mu przetrwać wszelkie okresy udręk i niepokojów. Spuścizna malarska o tak wielkim bogactwie treści mogła powstawać tylko jako wyraz bogactwa duszy malarza, który potrafił łączyć pracę duszpasterską w swoim Kościele z pracą nad ukazaniem ludziom tragizmu i piękna, ostrzegając przed pierwszym i zachęcając do odczytania drugiego.

Obrazy Bergera eksponowane były na wielu wystawach, gdzie spotykały się zawsze z przychylną oceną i życzliwością nie tylko znawców sztuki, ale i osób nie interesujących się nią profesjonalnie. I tak, w roku 1947 Berger wystawiał swoje prace w Katowicach, w latach 1948—1949 — w Cieszynie, w roku 1953 — w Bratysławie i Modrej, w 1960 — w Pradze, a w 1961 — ponownie w Bratysławie. Po śmierci artysty Galeria Miejska w Bratysławie urządziła w 1963 roku pośmiertną wystawę jego prac, zaś w roku 1974 krakowska Galeria „Propozycje" udostępniła polskiej publiczności cykl oświęcimski, który wzbudził uzasadnione zainteresowanie.

Wszystkie dzieła Bergera tchną bardzo prostym i znamionującym całe jego życie spokojem, co bez wątpienia przyczyniło się do wzrostu zainteresowania jego twórczością. W miarę upływu czasu i przyspieszenia tempa cywilizacji sztuka jego zostanie jeszcze bardziej doceniona, gdyż człowiek szuka piękna, którego coraz mniej umie i może dostrzec w szybkim nurcie codzienności.

Obrazy Bergera pełne są jego osobowości i wewnętrznego spokoju, niekiedy spokoju mimo wszystko. Działają na widza kojąco i twórczo, pobudzając do refleksji... Być może na takie właśnie, a nie inne, odbieranie treści tych dzieł ma wpływ świadomość, że ich twórca zarówno doświadczył na sobie ciężaru życia w koncentracyjnym obozie, jak również sam umiał odnaleźć piękno we wszystkim, co go otaczało. Znalazł piękno ludzkiej twarzy, starych zaułków Bratysławy, zielonych łąk, gór i rzek, piękno jakiegoś nie zauważonego przez nikogo krzewu przy drodze czy samotnego drzewa na skalnym wzniesieniu.

Tak więc, można chyba bez przesady nazwać malarstwo Józefa Bergera wizją dwóch światów, realizowaną przez właściwe odczytanie własnego powołania — jako duchownego, malarza i dobrego człowieka. Bo właśnie Bergerowska dobroć znalazła wspaniałe odbicie w jego bogatej w treści i znaczenie spuściźnie artystycznej.

Przy gromadzeniu materiałów do niniejszego szkicu korzystałem z cennych uwag rodziny artysty: Marii Berger, Elżbiety Berger-Kolodziejszyk i Jacka Kołodziejczyka, którym składam wyrazy podziękowania.

KAROL KARSKI

Joseph H. Oldham

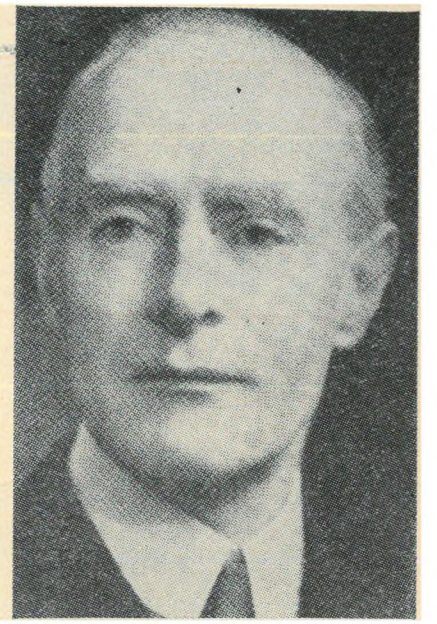

Wieloletni sekretarz generalny Światowej Rady Kościołów, dr Willem A. Visser't Hooft, napisał kiedyś o Oldhamie: „Zawdzięczamy mu więcej niż jakiemukolwiek innemu przywódcy ruchu ekumenicznego". Wraz z J.R. Mottem, N. Söderblomem. W. Templem i G. Bellem należy Oldham do najwybitniejszych ekumenistów pierwszej połowy XX wieku.

Joseph Houldworth Oldham urodził się 20 października 1874 r. w Bombaju (Indie). W 1881 r. jego rodzina powraca do rodzinnej Szkocji. Po studiach w Oksfordzie, w latach 1896—1897 sprawuje Oldham funkcję sekretarza Ruchu Chrześcijańskiego Studentów Anglii, a w latach 1897—1900 — Chrześcijańskiego Związku Młodych Mężczyzn w Lahore (Indie). Z powodu choroby powraca jednak do Szkocji i rozpoczyna studiować teologię w New College w Edynburgu (1901—1904). W tym czasie nawiązuje ścisłe kontakty z ośrodkami teologicznymi w Niemczech, co będzie miało duże znaczenie w jego dalszej drodze życiowej. Dzięki bowiem gruntownej znajomości języka niemieckiego odegra rolę pośrednika między poglądami teologicznymi na kontynencie i w świecie anglosaskim oraz zacznie interpretować nowe idee na długo przedtem, zanim staną się one dobrem ogólnym. Nie jest rzeczą przypadku, iż Oldham, jako jeden z pierwszych w Wielkiej Brytanii, poznał znaczenie myśli teologa żydowskiego Martina Bubera i zapoznał środowiska angielskie z jego poglądami.

Myśl Oldhama stale wybiegała ku przyszłości. Gdzie należy oczekiwać najbliższego wielkiego kryzysu? Z jakimi problemami będzie musiała się uporać w najbliższych latach ludzkość? — oto pytania, które go bezustannie absorbowały. Jedną ze swoich książek zatytułował: „Prawdziwym życiem jest spotkanie" (Real Life is Meeting). Trudno byłoby lakoniczniej i trafniej scharakteryzować jego działalność.

Oldham nigdy nie pragnął występować publicznie i jako mówca nie zyskał żadnego rozgłosu. Toteż ci, którzy zdani są na szukanie informacji w prasie, nie dowiedzą się prawie niczego o nim i nadzwyczajnej roli, jaką odegrał w rozwoju ruchu ekumenicznego. Siła Oldhama leżała w kontaktach osobistych. Chociaż od młodości miał on mocno przytępiony słuch, to jednak fakt ten nie skłaniał go do trzymania się z dala od ludzi. Przeciwnie, przez całe życie Oldham gromadził wokół siebie młodych ludzi, z którymi starał się śledzić współczesne prądy i przemiany umysłowe.

W 1908 r. John Mott uczynił Oldhama odpowiedzialnym za przygotowanie I Światowej Konferencji Misyjnej, której zwołanie przewidywano w Edynburgu, w 1910 r. Kierowany przezeń Komitet Przygotowawczy ustalił tematy, a ich opracowanie powierzył odpowiednim komisjom. Ten sposób postępowania stał się wzorem dla późniejszych konferencji ekumenicznych, np. dla Międzynarodowej Rady Misyjnej (1928, 1938 i 1947), II Światowej Konferencji Kościołów do Spraw Praktycznego Chrześcijaństwa (1937) i I Zgromadzenia Ogólnego Rady Kościołów (1948). Podczas obrad w Edynburgu Oldham kierował komisją, która debatowała nad tematem: „Wychowanie a chrystianizacja życia narodowego".

Jedną z ważniejszych decyzji Konferencji w Edynburgu było powołanie stałego organu międzynarodowej współpracy, pod nazwą Komitet Kontytnuacji Pracy. Krok ten miał poważne znaczenie, gdyż Komitet stał się prototypem późniejszej formy organizacyjnej ruchu ekumenicznego. Przewodniczącym Komitetu został J.R. Mott, a sekretarzem — J. Oldham, pod którego patronatem powołano do życia godny uwagi kwartalnik „The International Review of Mission" (Międzynarodowy Przegląd Misyjny), poświęcony misji Kościoła w świecie. Pierwszy numer ukazał się w 1912 r. W stosunkowo krótkim czasie pismo zdobyło rangę najważniejszego ponadwyznaniowego periodyku międzynarodowego w dziedzinie misji.

Oldham i Mott nie zadowolili się utworzeniem w Edynburgu Komitetu Kontynuacji Pracy. Po I wojnie światowej, gdy nadarzyła się tylko możliwość, zaczęli konsekwentnie dążyć do stworzenia stałej międzynarodowej organizacji misyjnej. Plan ten zdołali zrealizować w październiku 1921 r. na posiedzeniu w Lake Mohonk (USA), gdzie 61 przedstawicieli z 14 państw postanowiło powołać do życia Międzynarodową Radę Misyjną (MRM). Ustalono, że jej członkami będą narodowe rady misyjne, a nie — jak to później miało miejsce w Światowej Radzie Kościołów — poszczególne Kościoły. Zadania MRM określono następująco: inicjowanie rozważań i badań nad misją, pomoc w koordynowaniu

działalności narodowych organizacji misyjnych, jednoczenie chrześcijańskiej opinii publicznej w popieraniu wolności sumienia, religii i w prowadzeniu działalności misyjnej, jednoczenie sił chrześcijańskich w świecie w dążeniu do sprawiedliwości w stosunkach międzynarodowych i międzyrasowych. Aby zapewnić właściwe działanie MRM — na stanowisko jej przewodniczącego wybrano J.R. Motta, a na sekretarza generalnego — J.H. Oldhama. Funkcję tę sprawował Oldham do 1934 r., gdy przeszedł do pracy w Radzie Ekumenicznej do Spraw Praktycznego Chrześcijaństwa. Był odpowiedzialny za przygotowanie II Światowej Konferencji Misyjnej w Jerozolimie (1928), choć sam w niej udziału nie wziął.

Oldham był bodaj pierwszym działaczem ekumenicznym, który bliżej zajął się różnymi aspektami rasizmu. W 1924 r. ukazała się jego praca pt. „Christianity and the Race Problem" (Chrześcijaństwo a problem rasowy). Wzywał w niej chrześcijan, by jako naśladowcy Chrystusa walczyli o położenie kresu wszelkim przejawom rasizmu, jako że przyjście Chrystusa było „deklaracją walki: walką na śmierć przeciw mocom ciemności". Ponieważ problem rasowy jest problemem światowym, przeto winien być przedmiotem troski całego Kościoła Chrystusowego. Segregacja rasowa, stosowana w pewnych Kościołach, kompromituje c a ł y Kościół. Książka Oldhama zasadniczo wpłynęła na wypowiedzi I Światowej Konferencji Kościołów do Spraw Praktycznego Chrześcijaństwa w Sztokholmie (1925) i II Światowej Konferencji Misyjnej w Jerozolimie (1928) — w sprawach rasowych. Sięgnięto do niej znowu 45 lat później, gdy w środowiskach ekumenicznych rozgorzała dyskusja nad Programem Zwalczania Rasizmu, uchwalonym przez Komitet Naczelny Światowej Rady Kościołów w 1969 r.

Nie tylko w podjęciu problematyki rasowej był Oldham pionierem. Był też bodaj pierwszym działaczem ekumeniczno-misyjnym, który w Afryce dojrzał kontynent przyszłości. I pod jego to wpływem Międzynarodowa Rada Misyjna bardzo wcześnie zwróciła uwagę na ten obszar. Przedtem misje i Kościoły kierowały uwagę na kraje azjatyckie, o starej kulturze. Panowało przekonanie, że Afryce wystarczą niżej kwalifikowani misjonarze. Z inicjatywy Oldhama odbyła się w Le Zoute (Belgia, 1926) I Ogólnoafrykańska Konferencja Chrześcijańska, która świadomie wybrała sobie hasło: „M i s j a chrześcijańska w Afryce", a nie — „M i s j e chrześcijańskie w Afryce". Chodziło o wspólne działanie chrześcijańskie, obejmujące wszystkie obszary życia Afryki. Z konferencji tej wyłonił się Międzynarodowy Komitet do spraw Literatury Chrześcijańskiej dla Afryki (International Committee on Christian Literature for Africa), ściśle związany z Międzynarodową Radą Misyjną. Zrzeszał on ok. 40 towarzystw misyjnych, które za cel stawiały sobie dostarczenie Afryce odpowiedniej literatury chrześcijańskiej. W latach 1931—1938 Oldham był dyrektorem Międzynarodowego Instytutu do Spraw Kultur i Języków Afrykańskich.

Wspomnieliśmy już, że w 1934 r. Oldham przeszedł do Rady Ekumenicznej do Spraw Praktycznego Chrześcijaństwa. Natychmiast też rozpoczął pracę nad przygotowaniem II Światowej Konferencji tej organizacji (Oksford, 1937) .Jedna z pierwszych decyzji, powziętych z inicjatywy Olhama, dotyczyła faktu, że Konferencja Oksfordzka zajmie się niewielką liczbą zagadnień, mianowicie tymi, które w ówczesnej epoce wydawały się najbardziej palące. Miała to być konferencja poświęcona Kościołowi, narodowi i państwu. Do wyboru takiej właśnie problematyki przyczynił się fakt, że coraz bardziej wzrastała rola ideologii nazistowskiej, roszczącej sobie prawo do kontroli wszystkich dziedzin działania ludzkiego, a więc i Kościoła.

Oldham zaangażował do prac przygotowawczych około 300 osób, specjalistów z różnych dziedzin, w tym wielu laików, którzy dotąd jeszcze nie słyszeli o ekumenii. Podczas samych obrad Oldham — jak zwykle — nie zabierał głosu, lecz jedynie czuwał nad tym, by wszystko przebiegało bez większych zakłóceń. Był też wydawcą zbioru uchwalonych dokumentów, do którego napisał przedmowę.

Po I wojnie światowej w wielu umysłach równocześnie zrodziła się idea powołania do życia związku, wspólnoty względnie rady ekumenicznej Kościołów. I tak abp N. Söderblom wystąpił w 1919 r. z planem powołania do życia Rady Ekumenicznej Kościołów. Patriarchat ekumeniczny Konstantynopola ogłosił w 1920 r. orędzie, które zawierało ideę wspólnoty Kościołów. W tym samym roku J.H. Oldham wystąpił z propozycją stworzenia Międzynarodowej Rady Misyjnej, która — jak twierdził — „prawdopodobnie dosyć szybko ustąpi miejsca innej organizacji, będącej początkiem Światowego Związku Kościołów". Ale wszystkie te propozycje nie znalazły przez wiele lat właściwego echa i ruch ekumeniczny rozwijał się w kilku nurtach.

Dopiero na początku lat trzydziestych zorganizowała się grupa ludzi zdecydowanych rozwiązać problem jednej organizacji ekumenicznej. Szczególnie wyróżniał się pośród nich Oldham. W memorandum, zredagowanym na posiedzeniu Rady Ekumenicznej do Spraw Praktycznego Chrześcijaństwa (1936), wyraził on przekonanie, iż rada ekumeniczna musi powstać teraz lub nigdy. „Fakt, że w 1937 r. zwołane będą konferencje ekumeniczne, stwarza możliwości, które nie powtórzą się przez wiele lat: zbadania na nowo całego zagadnienia przyszłości ruchu ekumenicznego (...) W historycznej godzinie decyzji, w jakiej znalazł się Kościół, trzeba te zagadnienia jak najdokładniej przemyśleć i podejść do nich z całą dyplomatyczną mądrością, jaką Kościoły dysponują. Najlepszym sposobem byłoby mianowanie, w porozumieniu z innymi nurtami ekumenicznymi, komitetu, który zebrałby się przed konferencjami w Oksfordzie i Edynburgu i przedstawił im sprawozdanie".

Propozycja Oldhama została przyjęta na posedzeniach Ruchu Praktycznego Chrześcijaństwa i Ruchu Wiara i Ustrój Kościoła. Także organy Światowego Związku Przyjaznej Współpracy Kościołów i Międzynarodowej Rady Misyjnej upoważniły swych przedstawcieli do pracy w nowym Komitecie, którego liczbę członków ustalono na 35. Propozycje „Komitetu 35", przyjęte przez Konferencję Oksfordzką i Edynburską w 1937 r., dały podstawę do powołania w 1938 r. Tymczasowego Komitetu Światowej Rady Kościołów.

Oldham uczestniczył w I Zgromadzeniu Ogólnym w Amsterdamie (1948), które oficjalnie powołało do życia Światową Radę Kościołów. III Zgromadzenie Ogólne w New Delhi (1961) powierzyło mu funkcję honorowego prezydenta. Jednakże podeszły wiek i nie najlepszy stan zdrowia spowodowały, że po II wojnie światowej Oldham nie udzielał się już zbyt aktywnie w ruchu ekumenicznym. Zmarł w 1969 r., przeżywszy 95 lat.

Dzieje Estery

Odcinek 16

W dziesięciu rozdziałach księgi Estery opowiedziana jest dramatyczna historia, która często wywołuje przykre wrażenie wskutek zawartych w niej akcentów nienawiści i zemsty oraz niemal całkowitego braku religijnych treści. Jest to jedyna księga, która ani razu nie wymienia Bożego imienia!

Właśnie z powodu tego specyficznego charakteru opowiadania hebrajskiego, tłumacze greccy dołączyli całe fragmenty, aby nadać tekstowi zabarwienie religijne, którego jest on zupełnie pozbawiony. Są to mianowicie: sen i modlitwa Mardocheusza, modlitwa Estery i kilka innych fragmentów, mających na celu złagodzenie lub usprawiedliwienie postawy Żydów, którzy pragnęli krwawych represji wobec pogan. Wstawki te zaliczane są do ksiąg apokryficznych Starego Testamentu, które za Biblią grecką zostały włączone do wydań katolickich, natomiast my nie uznajemy ich za księgi wchodzące w skład pierwotnego kanonu Starego Testamentu.

DIAMETRALNY ZWROT

Czyż trzeba przypominać tę historię? Za panowania perskiego Żydzi znajdują się w Suzie, w stolicy, a młoda dziewczyna, Ester, zostaje wybrana przez króla Kserksesa (w tekście biblijnym: Aswerusa) jako panująca u jego boku królowa. Minister królewski, Aman, żywi dziką nienawiść do Żydów i za jego namową zapada decyzja o powszechnej masakrze w całym cesarstwie. Dzięki interwencji bliskiego krewnego Estery, Mardocheusza, królowej udaje się uchylić wykonanie masakry i otrzymać zgodę na zemstę Żydów na poganach, spośród których ginie 75 tysięcy w ciągu dwóch kolejnych dni represji. Synowie Amana zostają zabici, a sam minister powieszony na szubienicy, którą kazał wznieść dla Mardocheusza. Ten zaś zostaje wyniesiony do rangi ministra i postanawia, że odtąd co roku na pamiątkę tych wydarzeń obchodzone będzie święto Purim, przestrzegane w synagogach do dzisiejszego dnia.

Zadziwia nas w tym opowiadaniu brutalny realizm, szowinizm, a nawet rasizm, przejawiany przez głównych bohaterów. Nietrudno jest sformułować pytanie, jakie postawi sobie natychmiast czytelnik Biblii: dlaczego księga ta znalazła się w Piśmie św. i jaką ma ona dla nas wartość?

Trzeba przyznać, że księga Estery wywoływała wiele dyskusji zarówno w okresie powstawania Biblii hebrajskiej, jak i później. Wielu uczonych żydowskich sprzeciwiało się jej przyjęciu ze względu na jej zbyt ludzki i świecki charakter. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa nigdzie jej nie cytowano (nigdy w Nowym Testamencie), a Ojcowie Kościoła nie napisali do niej żadnych komentarzy, podczas gdy szeroko objaśniali inne księgi Starego Testamentu. Nawet w okresie Reformacji wartość księgi Estery uważano za dyskusyjną. Luter z pewnością wolałby, aby to niewielkie pismo biblijne nigdy nie powstało. Jednakże weszła ona w skład Biblii zapewne dlatego, że wyrażała cały tok dawnej myśli judaistycznej, a także i z tego powodu, że z jej stron emanuje — jak sądzono — boska prawda; w pewnych środowiskach żydowskich uważano ją za księgę równie ważną, istotną i wieczną, jak Prawo Mojżesza w Pięcioksięgu.

HISTORIA CZY LEGENDA?

Z punktu widzenia czysto historycznego opinie uczonych są bardzo zróżnicowane. Jedni odmawiają wszelkiej wartości historycznej temu opowiadaniu, które uważają raczej za legendę żydowską lub powieść historyczną, a nie za relację z prawdziwego wydarzenia. Żaden bowiem inny dokument dotyczący starożytności perskiej nie wspomina o masakrze, która powinna była przecież pozostawić jakieś przykre wspomnienia. Inni uczeni dopatrują się w tej księdze wątku mitologicznego z powodu podobieństw — interesujących, to prawda — imion Estery i Mardocheusza z imionami dobrze znanych bogów babilońskich — Isztar i Marduka. Jeszcze inni, wreszcie, wydają się być najbliżsi prawdy, odkrywając w tym opowiadaniu wiele szczegółów historycznych (np. opis życia na dworze królów perskich, rozkład pałacu królewskiego, potwierdzony w uderzający sposób przez prace archeologiczne, krwawe konflikty pomiędzy Żydami i poganami, których początki sięgają jeszcze dawniejszych czasów itp.), a zwłaszcza istnienie święta Purim, którego pochodzenie jest nieznane, ale trudne do wytłumaczenia legendą lub mitem. Jeśli nawet nie wiemy, co się istotnie wydarzyło, i jeśli opowiadanie wykazuje pewną tendencję do przesady (liczba zabitych, wysokość szubienicy, która jakoby miała 25 metrów! itp.), to u źródeł księgi Estery legły fakty historyczne, które wydają się solidnie ugruntowane.

PROBLEM ANTYSEMITYZMU

Jakie jednak znaczenie ma to opowiadanie dla nas? Wydaje się, że dzieje Estery w sposób brutalny, ale jakże realny, stawiają nas i nasze sumienie wobec problemu antysemityzmu. Ponieważ w Biblii opisane są dzieje narodu wybranego, z którym Bóg zawarł przymierze, w sposób naturalny wyłania się problem nienawiści innych narodów do Izraela. Żaden naród nie może uważać się za lud wybrany przez Boga nie wzbudzając natychmiastowej, żywej reakcji ze strony innych; naturalnym zaś tego skutkiem jest prześladowanie. Wiadomo powszechnie, że w ciągu wieków antysemityzm dokonał wielu spustoszeń, aż po dzisiejsze cza-

sy, i znalazł nawet pewne usprawiedliwienie w sposobie myślenia niektórych chrześcijan. Księga Estery ukazuje nam wyraziście, że problem stosunków między Żydami i nie-Żydami w żadnym wypadku nie może być rozwiązany przy użyciu siły. Przemoc pociąga za sobą przemoc, i w tym krwawym konflikcie można jedynie dojść do jeszcze większej nienawiści, do brutalnej zemsty i masakry jednych przez drugich, bez względu na przewagę którejkolwiek strony. W rzeczywistości próby rozwiązania problemu żydowskiego na płaszczyźnie ludzkiej sprowadzają się wyłącznie do krwi i śmierci. Jedyne rozwiązanie znajduje się na płaszczyźnie Bożej: po pierwsze dlatego, że prawo nagradzania i karania należy do Boga (Rzym. 12:19), po drugie zaś dlatego, że pokój między Żydami a poganami został przywrócony w Jezusie Chrystusie, który sam będąc Żydem został ukrzyżowany, aby zbawić wszystkich ludzi; zburzył dzielący ich mur, ogłosił pokój i pojednanie (Ef. 2:11—18).

My, chrześcijanie, patrzymy na księgę Estery w świetle trzech (9—11) rozdziałów Listu do Rzymian, znajdujemy też w niej takie treści, które pomagają nam nie tracić z oczu naszej własnej postawy wobec Żydów. Już tylko z tego jednego powodu, pozbawiona księgi Estery Biblia byłaby dziełem okaleczonym.

Tłum. I. N.

Frank Michaeli: „39 livres en un seul"

PRZEGLĄD EKUMENICZNY

Z KRAJU

■ 6 kwietnia br. w kościele ewangelickim św. Trójcy w Warszawie został wprowadzony w urząd nowy zwierzchnik Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, ks. bp. Janusz Narzyński, wybrany na to stanowisko 23 lutego br. Uroczystość zgromadziła członków władz zwierzchnich, duchownych, diakonise oraz liczne rzesze wyznawców Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego z całego kraju. Obecni byli również zwierzchnicy Kościołów zrzeszonych w Polskiej Radzie Ekumenicznej, z jej prezesem, ks. prof. dr. Witoldem Benedyktowiczem oraz przedstawiciel Światowej Federacji Luterańskiej, ks. Paul Hansen. Uroczystego aktu wprowadzenia w urząd dokonali: ks. dr Andrzej Wantuła — ustępujący biskup, ks. dr Jan Michalko — biskup Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego Słowacji oraz ks. Władysław Kiedroń — biskup Śląskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Czechosłowacji; aktowi temu asystowali wszyscy księża seniorzy.

■ Nieco wcześniej, 20 marca br., w Urzędzie Rady Ministrów odbyło się uroczyste ślubowanie ks. bp. Janusza Narzyńskiego. Ślubowanie przyjął wicepremier Józef Tejchma w towarzystwie ministra Kazimierza Kąkola i dyr. Tadeusza Dusika z Urzędu do Spraw Wyznań. W uroczystości uczestniczyli członkowie Konsystorza, seniorzy diecezji, członkowie Wydziału Synodalnego, rektor Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, dyrektor Towarzystwa Biblijnego oraz redaktor naczelny „Zwiastuna". W czasie uroczystości przemówili do zgromadzonych wicepremier Józef Tejchma i ks. bp. Janusz Narzyński.

■ 26 i 27 kwietnia br. odbył się w Warszawie VIII Synod zwyczajny Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego. Sesja, która odbywa się co 3 lata, zgromadziła ponad 160 delegatów reprezentujących 80% zborów z pięciu ugrupowań, wchodzących w skład ZKE. W sobotę zebrani wysłuchali sprawozdań Prezydium Rady Kościoła i udzielili absolutorium ustępującej Radzie. Następnie Synod przystąpił do wyborów nowej Rady i Prezydium. Nowym prezesem Rady został prezb. Konstanty Sacewicz (Sosnowiec), sekretarzem ponownie prezb. Kazimierz Muranty, skarbnikiem — prezb. Edward Czajko (obaj Warszawa). Wiceprezesami zostali: Józef Folwarczny (Pszczyna), prezb. Andrzej Kominek (Wapienica), prezb. Teodor Maksymowicz (Warszawa) i prezb. Kazimierz Najmałowski (Łódź).

Ustępującemu długoletniemu prezesowi, mgr Stanisławowi Krakiewiczowi, Synod nadał godność prezesa honorowego.

W niedzielę odbyło się uroczyste nabożeństwo poświęcone trzydziestoleciu zakończenia wojny, po czym przystąpiono do omówienia nowych zasad współżycia i współpracy pięciu ugrupowań, wytycznych do prawa wewnętrznego i regulaminów. Zebrane materiały staną się podstawą pracy nowej Rady.

■ W końcu kwietnia przybył na 3 dni do Warszawy delegat Zjednoczonych Towarzystw Biblijnych, ks. Rudi Kassühlke, jeden z trzech europejskich sekretarzy do spraw tłumaczeń. Ks. Kassühlke, baptysta, przez wiele lat pracował jako misjonarz w Kamerunie. Przetłumaczył Nowy Testament na jeden z dialektów afrykańskich. W Warszawie, jako gość Towarzystwa Biblijnego, uczestniczył 22 kwietnia w roboczej sesji tłumaczy Nowego Testamentu, a następnego dnia prowadził kilkugodzinne seminarium dla tłumaczy.

Z ZAGRANICY

■ Znany teolog katolicki, prof. dr Hans Küng, udzielił ostatnio wywiadu dla czasopisma zachodnioniemieckiego „Lutherische Monatshefte". Jego zdaniem nie można mówić o regresie w stosunkach ekumenicznych, których rozwoju nie udało się dotychczas zahamować nawet Kurii Rzymskiej, co jest „oznaką nadziei". Prof. Küng uważa jednak, że zbliżenie między Kościołem rzymskokatolickim a innymi Kościołami nie znajduje właściwego odzwierciedlenia na płaszczyźnie oficjalnej i dlatego można obawiać się, zwłaszcza w Kościele katolickim, że dojdzie do poważnego rozdźwięku pomiędzy hierarchią z jednej a parafiami i duszpasterzami — z drugiej strony, o ile w diecezjach, Kościołach krajowych i w całym Kościele nie uwzględni się pewnych, istniejących już od dawna na szczeblu parafialnym, oczywistych prawd. Zdaniem prof. Künga, w ostatnich latach również w Światowej Radzie Kościołów osiągnięto zbyt mało w zakresie pierwotnego celu ekumenizmu, jedności Kościołów. ŚRK zajmowała stanowisko

wobec wszelkich możliwych problemów świata, ale w dziedzinie właściwych dążeń ekumenicznych nie posunęła się naprzód.

■ Nagrodę im. kard. Augustyna Bei za lata 1974—75 przyznano wieloletniemu sekretarzowi generalnemu Światowej Rady Kościołów i jej obecnemu prezydentowi honorowemu, dr. W. A. Visser't Hooftowi. Wręczy ją w Genewie prezydent Szwajcarii, Pièrre Graber. Laudatio wygłosi przewodniczący watykańskiego Sekretariatu do Spraw Jedności Chrześcijan, kard. Jan Willebrands. Nagroda im. kard. Bei ustanowiona została w 1969 r. Ma ona podkreślić znaczenie pracy nagrodzonego w zakresie zbliżenia między Światową Radą Kościołów a Kościołem rzymskokatolickim.

■ Sprawie popierania dialogu między Kościołem katolickim a Światowym Aliansem Reformowanym poświęcone było spotkanie w Rzymie z udziałem oficjalnych przedstawicieli obu stron. Do programu należało przede wszystkim zagadnienie urzędu kościelnego. Ze strony katolickiej wziął udział m. in. znany teolog o. Yves Congar. Ustalono, w których punktach panuje zgodność, a w których jeszcze nie osiągnięto porozumienia. W spotkaniu w Rzymie wzięło udział 16 przedstawicieli Światowego Aliansu Reformowanego i watykańskiego Sekretariatu do Spraw Jedności Chrześcijan. Rozmowy odbywające się pod ogólnym hasłem: „Obecność Chrystusa w Kościele i świecie" rozpoczęły się już w 1970 r.

■ Wspólny Komitet Światowego Aliansu Reformowanego i Światowej Federacji Luterańskiej obradował w Strasburgu nad teologicznym i ekumenicznym oddziaływaniem Konkordii Leuenberskiej, aktualnym stanem stosunków reformowano-luterańskich oraz problemem „uniwersalnego soboru". Podkreślono, że wspólnota koncyliarna winna być „procesem wspólnych dążeń" i że w Kościołach należy zająć się wychowaniem do wspólnoty koncyliarnej. „To oznacza, że potrzeba nam czasu do przemyślenia wynikających z tego kroku następstw i do wprowadzenia ich w życie naszych zborów". Wspólny Komitet określił Konkordię Leuenberską jako „próbę sięgnięcia do źródeł obu tradycji".

■ „Światowa Rada Kościołów jest w rzeczywistości dzieckiem Kościołów reformowanych" — powiedział sekretarz generalny Światowej Rady Kościołów, dr Filip Potter, na posiedzeniu Komitetu Wykonawczego Światowego Aliansu Reformowanego. Dr Potter podkreślił, że ludzie, którzy przyczynili się do powstania Światowej Rady Kościołów, w większości pochodzili z rodziny Kościołów reformowanych. „Nie znam żadnego innego światowego związku wyznaniowego, który by tak wiele zdziałał dla tworzenia jedności kościelnej, dla jasnego pojmowania misji i dla składania świadectwa wobec społeczeństwa". Dr Potter zaapelował do SAR, by zajmował otwartą postawę wobec różnych kultur i popierał różne formy dialogu: „dla ekumenizmu jest to życiowa konieczność". Jego zdaniem, Alians winien pomóc swoim Kościołom członkowskim w Afryce Południowej w zrozumieniu, jak wielka spoczywa na nich odpowiedzialność za kryzys powstały w ich kraju na tle rasowym.

■ Delegacja katolików i ewangelików z RFN odwiedziła ostatnio obie części Irlandii, gdzie przeprowadziła rozmowy nie tylko z czołowymi przedstawicielami życia religijnego, lecz również politycznego. Zaraz po przybyciu do Dublina delegacja została przyjęta przez prezydenta Irlandii. W Irlandii Płn. doszło do spotkania z przywódcami Kościoła anglikańskiego, rzymskokatolickiego, prezbiteriańskiego i metodystycznego. Na delegacji chrześcijan z RFN szczególne wrażenie wywołała współpraca przedstawicieli czterech wyznań w zakresie wszechstronnej pomocy dla ofiar wojny domowej. Jeden z członków delegacji oświadczył po powrocie, że w skomplikowanej sytuacji politycznej, społecznej i religijnej, współpraca Kościołów w Irlandii jest „oznaką nadziei".

■ 18 000 młodych ludzi z całego świata uczestniczyło podczas Świąt Wielkanocnych w Soborze Młodych w Taizé. Mszę św. odprawił biskup rzymskokatolicki Le Bourgeois. Podczas nabożeństwa końcowego kazanie wygłosił dr Filip Potter, sekretarz generalny Światowej Rady Kościołów. Według słów przeora, Rogera Schutza, Sobór Młodych nie ma być ruchem ludzi o tych samych poglądach, lecz ma być „szukaniem wspólnoty z wszystkimi ludźmi, bez względu na dzielące ich różnice". Na tym „polega ekumeniczne zadanie Soboru Młodych". Dalsze obchody Soboru Młodych odbędą się w USA i Kanadzie.

■ Sekretarz Generalny Światowej Rady Kościołów, dr Filip Potter, zaapelował do rządu brytyjskiego, by uczynił wszystko co w jego mocy dla zapobieżenia dalszym egzekucjom w Rodezji; ostatnio wykonano tam egzekucję na trzech Afrykańczykach. Potter domaga się, aby bezzwłocznie wszczęto „sprawiedliwe i jawne" postępowanie sądowe w sprawie ponownie uwięzionego działacza Afrykańskiej Rady Narodowej, ks. Ndabaningi Sithole, i by dopuszczono na proces obserwatora z zagranicy. Dr Potter przypomina też o apelu Komitetu Naczelnego ŚRK w sprawie zastosowania sankcji ekonomicznych i presji politycznej wobec rządu Smitha. Potter potwierdza też solidarność ŚRK z ludem Zimbabwe „w jego walce o sprawiedliwość, wyzwolenie i samostanowienie".

■ „Czynniki odpowiedzialne za gwałcenie praw człowieka w Afryce" — tak brzmiał temat konsultacji w Chartumie, gdzie przyjechało 30 przedstawicieli Kościołów protestanckich, anglikańskich, prawosławnych i rzymskokatolickich. Konsultację zorganizowały Ogólnoafrykańska Konferencja Kościołów oraz Komisja do Spraw Międzynarodowych ŚRK.

Wydawca: Konsystorz Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w PRL. Redaktor naczelny: ks. Bogdan Tranda, sekretarz redakcji: Barbara Stahl. Adres redakcji i administracji: al. Świerczewskiego 76a, 00-145 Warszawa. Telefon: 31-23-83. Prenumerata w kraju: roczna — 92 zł, półroczna — 46 zł. Zagraniczna roczna — 184 zł. Cena numeru pojedynczego — 8 zł. Konto: PKO Warszawa VIII OM, nr 153-14-920651. Do nabycia we wszystkich placówkach Kościoła. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Cena 8 zł

RSW „Prasa-Książka-Ruch" Zakł. Graf. W-wa, ul. Srebrna 16, zam. 381-75 O, nakł. 1800 egz. B-99